



PISMO PG

PISMO PRACOWNIKÓW I STUDENTÓW POLITECHNIKI GDAŃSKIEJ

KWIECIEŃ 1999

ISSN 1429-4494

NR 4 (52)/99 ROK VII

Dni Otwarte Politechniki Gdańskiej



18-19 marca '99

Fot. T. Chmielowiec

Dni Kół Naukowych

15 kwietnia 1999 r. na Politechnice Gdańskiej odbyła się II edycja "Dni Kół Naukowych". Na stoiskach w holu przed Aulą studenci prezentowali dorobek swoich kół, a w sali 300 informowali o swojej działalności i planach na przyszłość. Podsumowania dokonano w Sali Senatu z udziałem p. prof. Alicji Konczakowskiej, prorektora ds. kształcenia.



KOLEJNY ŻŁOTY MEDAL DLA JUDOKÓW PG

Podczas XX jubileuszowych Mistrzostw Polski Politechnik (Koszalin, 13-14 marca 1999 r.) nasza uczelnia zdobyła po raz czwarty złoty medal. Na spotkaniu z JM Rektorem sportowcy zaprezentowali swoje trofea - miecze samurajskie.



Fot. T. Chmielowiec



"Pismo PG" wydaje Politechnika Gdańska
za zgodą Rektora i na zasadzie pracy społecznej
Zespołu Redakcyjnego.
Autorzy publikacji nie otrzymują honorariów.
Wszelkie prawa zastrzeżone

Adres redakcji:
Politechnika Gdańska
Dział Organizacyjno-Prawny
Zespół ds. Informacji i Promocji
ul. G. Narutowicza 11/12, 80-952 Gdańsk
tel. (48 58) 347 17 09, fax 341 58 21

Zespół Redakcyjny:
Waldemar Affelt (sekretarz),
Zbigniew Cywiński, Jerzy Kulas,
Jadwiga Lipińska, Adam Synowiecki,
Joanna Szlączyńska, Anna Szmaja

Opracowanie techniczne i typograficzne:
Skład komputerowy w programie Ventura Publisher
Janina Poćwiardowska
Zespół ds. Informacji i Promocji, e-mail inprom@pg.gda.pl

Stala współpraca:
Zespół Technik Multimedialnych

Korekta:
Joanna Szlączyńska

Druk:
Zakład Poligrafii Politechniki Gdańskiej
Numer zamknięto 12 kwietnia 1999 r.

Zespół Redakcyjny nie odpowiada za treść ogłoszeń i nie zwraca
materiałów nie zamówionych. Zastrzegamy sobie prawo zmiany,
skracania i adiustacji tekstów. Wyrażone opinie są sprawą autorów
i nie odzwierciedlają stanowiska Zespołu Redakcyjnego lub
Kierownictwa Uczelni.

Pojedyncze egzemplarze PISMA można otrzymać
w księgarni w Gmachu Głównym

Spis treści

Perspektywy rozwoju Politechniki Gdańskiej u progu nowego tysiąclecia są dobre <i>Aleksander Kołodziejczyk</i>	4
Quo vadis Polytechnica Gedanensis? <i>Henryk Krawczyk</i>	8
Profesor zw. dr hab. inż. Marian Cichy <i>Andrzej Balcerski</i>	11
Człowiek roku 1997/98 <i>Andrzej Wawrzyński, Stanisław Witkowski</i>	15
Polemiki	16
O prowadzeniu wykładu mniej poważnie <i>Wacław Dziewulski</i>	18
Prezentacje	17
Etyka i estetyka <i>Jowita Okupińska</i>	19
Słów kilka o przygotowaniu studentów do korzystania z chemicznej literatury specjalistycznej <i>Barbara Wierska</i>	21
Obrazek z zawodowego (i nie tylko) życia absolwenta <i>Krzysztof Targowski</i>	23
Cenzura w czasach PRL-u <i>Jerzy Sawicki</i>	25
Ku wiecznej pamięci <i>Aleksander Kołodziejczyk</i>	28
Politechnika Leningradzka lat 70. - oczami stażysty <i>Tomasz Pankiewicz</i>	29
Szachownica pragnień i możliwości, czyli gry dydaktyczne (cd.) <i>Krystyna Pokrzywnicka</i>	31
Opowieści kreślarniane (7) <i>Kazimierz Iwanowski</i>	34
Magister (cd.) <i>Edward Kaczmarek</i>	35
Migawki z dawniejszych lat (cd.) <i>Jerzy Sawicki</i>	37
Trójmiejski Park Krajobrazowy <i>Marcin S. Wilga</i>	38
Karole zostały rozdane!!! <i>Anna Szmaja</i>	42

PROF. ALEKSANDER KOŁODZIEJCZYK

Kandydat na Rektora



Urodzony 8 czerwca 1942 r.; Bielsko Białe. Żonaty (żona Aleksandra), 4 dzieci.

Wykształcenie: w 1959 r. kończy Liceum Ogólnokształcące im. A. Asnyka w Bielsku Białej. W latach 1960-66 studia magisterskie na Politechnice Śląskiej w Gliwicach, Wydział Chemiczny; 1969-1972 studium doktoranckie z dziedziny związków biologicznie czynnych, na Politechnice Gdańskiej; zatrudniony w Politechnice Gdańskiej od 1966 r.

Kwalifikacje: stopień zawodowy mgra inż. z dziedziny chemicznej technologii organicznej, Politechnika Śląska 1966; stopień naukowy doktora nauk chemicznych, praca pt. *Niesymetryczne pochodne izomerów optycznych kwasu dwuaminopimelinowego*, PG 1973; stopień naukowy doktora habilitowanego z dziedziny chemii organicznej, temat: *Zastosowanie radiochromatografii do badania racemizacji w syntezie peptydów*, PG 1979; *First Certificate in English* given by The University of Cambridge 1985; tytuł profesora z dziedziny chemii organicznej, PG 1993. Jest uznanym ekspertem w zakresie organicznej chemii związków naturalnych ze szczególnym uwzględnieniem chemii peptydów.

Przebieg pracy zawodowej: asystent stażysta w Katedrze Chemii Organicznej PG, 1966-67; asystent, 1967-69; uczestnik studium doktoranckiego PG, 1969-72; starszy asystent w Zakładzie Chemii Organicznej PG, 1972-73; adiunkt, 1973-81; docent, 1981-91; profesor nadzwyczajny w Katedrze Chemii Organicznej PG, 1991 - 1997; profesor zwyczajny, 1997; dyrektor Instytutu Chemii i Technologii Organicznej oraz Żywnościowej PG, 1981-88; prorektor ds. kształcenia PG, 1990-1996; rektor PG od 1996 r.

Perspektywy rozwoju Politechniki Gdańskiej u progu nowego tysiąclecia są dobre

Trzy lata temu, kiedy jako kandydat na rektora mijającej kadencji przedstawiałem program, nie zdawałem sobie sprawy, jak szybko przyjdzie mi ponownie oddać się pod osąd Uczelnianego Kolegium Wyborczego bezpośrednio, a pośrednio - całego naszego środowiska akademickiego. Na subiektywne odczucie szybkości przemijającego czasu duży wpływ mają aktywność, zaangażowanie, a także satysfakcja z realizowanych przedsięwzięć. Przyznaję, że sprawowanie funkcji rektora dawało mi wiele satysfakcji. Wielokrotnie spotkałem się także z dowodami szczerego poparcia ze strony pracowników PG,

Staże zagraniczne: Fabryka celulozy w Szwecji, praktyka IAEST, 1965, 3 miesiące; Medical College of Ohio w Toledo, USA, Dept. of Biochemistry, lab. światowej sławy prof. M. Manninga, 1979-80, 1rok; 1984, 4 miesiące; 1988-90, 2 lata.

Członkostwo towarzystw naukowych: Polskie Towarzystwo Chemiczne, European Peptide Society. Jest członkiem Rady Naukowej Centrum Chemii Polimerów PAN.

Zakończone promocje prac doktorskich: 6.

Dorobek naukowy: ogółem 221 pozycji, w tym prace oryginalne - 83, artykuły monograficzne - 10, komunikaty kongresowe - 101, artykuły popularnonaukowe i publicystyczne - 20, przyznane patenty - 5, skrypty uczelniane - 2.

Udział w kongresach naukowych: krajowych - 44, zagranicznych - 19.

Zainteresowania: muzyka klasyczna, fotografika, cukiernictwo, turystyka.

Dodatkowe informacje: jako rektor PG został wybrany na przewodniczącym Rady Rektorów Pomorza Nadwiślańskiego. Jest wiceprzewodniczącym Konferencji Rektorów Polskich Uczelni Technicznych. Gorąco propaguje ideę humanizacji studiów technicznych. Dzięki temu Politechnika Gdańska spełnia dodatkowo swoją misję kulturotwórczą w naszym regionie (koncerty, wystawy, wykłady otwarte itd.). Ta działalność, która została rozpoczęta po 1990 r. przynosi - dzięki znakomitej kontynuacji - tak wspaniałe efekty. W jego działalności naukowej bardzo ważną rolę spełniała współpraca z przemysłem krajowym i zagranicznym. Dla przykładu można podać: umowa z POCh w Gliwicach na produkcję ABTS, odczynnika wykorzystywanego do analizy stężenia glukozy we krwi (patent A. Kołodziejczyka) zaspokajająca całe zapotrzebowanie krajowe w latach 1886-1991, czy też wykonanie zlecenia dla American Cyanamid Company w l. 1993/94. Posiada osiągnięcia w poszukiwaniu nowych związków przeciwnowotworowych, głównie analogów MDP. W działalności dydaktycznej stosuje najnowocześniejsze metody kształceniowe. Uważany jest na Wydziale za jednego z najlepszych dydaktyków. Na uwagę zasługuje popularyzowanie osiągnięć naukowych (publikacje, wykłady otwarte). Według oceny dziekana Wydziału Chemicznego na szczególne uznanie zasługuje opracowanie programu oraz wprowadzenie do praktyki dydaktycznej nowego przedmiotu *chemia związków naturalnych*. Przedmiot ten ma kluczowe znaczenie dla specjalistycznego wykształcenia na kierunku Biotechnologia. Prof. A. Kołodziejczyk został odznaczony Złotym Krzyżem Zasługi oraz Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski.

szczególnie przy podejmowaniu trudnych decyzji. Za tę cenę pomoc i wsparcie serdecznie dziękuję. Słowa podziękowania i wdzięczności kieruję przede wszystkim do moich najbliższych współpracowników, tj. prorektorów, dziekanów, pozostałych członków Senatu, dyrekcji uczelni, pani kvestor, przewodniczących związków zawodowych działających w Uczelni i członków Zarządu Samorządu Studentów PG. Bez Waszej pomocy, mądrości, zaangażowania, wyrozumiałości i wsparcia znacznie trudniejsze byłoby realizowanie postawionych celów i rozwiązywanie problemów, jakie zawsze pojawiają się w trakcie działania.

Przystępując do sformułowania programu na nadchodzącą kadencję w pierwszym rządzie chciałbym ustosunkować się do programu sprzed trzech lat, ocenić jego wykonanie i zasadność sprecyzowanych w nim zadań. Poprzedni program pisałem z niepokojem, który został zawarty w tytule: *Czy uda się zapewnić właściwe tempo rozwoju Politechniki Gdańskiej?* PISMO PG Nr 5/96. Ten niepokój wyphywał z ówczesnej sytuacji, a przede wszystkim był spowodowany pogłębiającym się uczelnianym deficytem finansowym i zmniejszającą się liczbą najwyższej wykwalifikowanych pracowników. Deficyt wynikał z systematycznie obniżanych dotacji budżetowych na dydaktykę i naukę, a stan kadry był bezpośrednim wynikiem mizerności finansowej. Chociaż na tle innych uczelni ogólny poziom Politechniki Gdańskiej, osiągany nadzwyczajnym wysiłkiem kadry, był dobry, istniała jednak obawa, że zabraknie sił i środków na dalszy, konieczny rozwój.

Analizując program sprzed trzech lat, stwierdzam, że deklaracje, które wówczas złożyłem, były zasadne, a część z nich w niezmienionej formie może zostać dołączona do programu na kadencję 1999-2002 jako element kontynuacji tego, co dobre dla Uczelni i przynoszące jej korzyści. Uwaga ta szczególnie dotyczy dwóch pierwszych podrozdziałów, zatytułowanych: *Sprawy uniwersalne* i *Zasady organizacji uczelni*. Oczywiście w ciągu minionych trzech lat zaszło wiele zmian, na szczęście prawie o wszystkich można powiedzieć, że poszły w dobrym kierunku. Już nie muszę z troską pisać, że aktywność naukowa i kwalifikacja kadry w niektórych dziedzinach, szczególnie w zakresie matematyki, wymagają poprawy. Zespół matematyków w trakcie ubiegłej kadencji nie tylko wzmocnił się na tyle, że zdołał uruchomić nowy kierunek studiów - *Matematykę* na poziomie inżynierskim, ale stworzył realne podstawy umożliwienia studentom kontynuowania studiów z matematyki na poziomie magisterskim. Kadra fizyków PG nie tylko odzyskała prawo do nadawania stopnia doktora, ale w rankingu KBN polskich uczelni otrzymała bardzo wysoką ocenę i rozpoczęła staranie o przyznanie prawa do nadawania stopnia doktora habilitowanego. Sukces w tej dziedzinie osiągnął również wydział Oceanotechniki i Okrętownictwa, odzyskując zawieszony uprawnienia do nadawania stopnia doktora habilitowanego. Nie piszę o tych wydziałach i zespołach, które od lat zajmują wysokie pozycje w skali kraju, z tej prostej przyczyny, że ich osiągnięcia są powszechnie znane w Uczelni, a wyliczenie nawet tylko tych największych sukcesów zajęłoby zbyt dużo miejsca. Myślę jednak, że powinienem zrobić jeden wyjątek w związku z tym, że Wydział Mechaniczny stać było na zapewnienie obsady kadrowej nowo utworzonej Państwowej Wyższej Szkoły Zawodowej w Elblągu. To właśnie pracownicy WM PG stanowią najwyższej kwalifikowaną kadrę PWSZ w Elblągu, włączając w to osobę rektora tej Szkoły.

Rozwój kadry

Do jednych z najważniejszych sukcesów minionej kadencji należą osiągnięcia w zakresie rozwoju wysoko kwalifikowanej kadry. Jeżeli w latach 1990-95 przybywało średnio 3 nowych profesorów tytułarnych rocznie, to w okresie od 1966-1998, liczba ta wzrosła do 6, przy czym w roku 1998 przybyło naszej Szkole aż 10 profesorów tytułarnych. Oczywiście na to osiągnięcie składa się wysiłek wielu lat poprzedzających uzyskanie tytułu, a więc i lat poprzednich kadencji. Rezultat osiągnięty w roku ubiegłym nie wydaje się sukcesem jednorazowym, ponieważ są przesłanki wskazujące na dalszy szybki przyrost liczby profesorów tytułarnych w PG: w roku bieżącym już trzech naszych pracowników odebrało tytuł profesora, a kilka następnych wniosków zostało już popartych przez Senat PG, przy czym na jednym tylko posiedzeniu, w marcu, Senat rozpa-

trył pozytywnie aż 3 takie wnioski; było to bezprecedensowe wydarzenie w historii naszej Uczelni. Szereg następnych wniosków jest w przygotowywaniu. Boleję, że w ślad za tym wysiłkiem nie idzie stosowna podwyżka uposażeń. Ta uwaga dotyczy nie tylko gaź profesorskich, ale całej kadry. Z całym przekonaniem stwierdzam, że w porównaniu do kwalifikacji pracowników i stawianych im wymogów, płace w uczelniach państwowych są żenująco niskie. Jest to wynik postawy najwyższych władz państwowych. Niezależnie od opcji politycznej większości parlamentarnej tworzącej rząd przed 1990 rokiem, jak i III Rzeczypospolitej, nie doceniało znaczenia wyższych uczelni we wszechstronnym rozwoju państwa i społeczeństwa. Pod względem wydatków na edukację i naukę możemy porównywać się w Europie jedynie do Albanii i Turcji. Jednym z najważniejszych zadań przyszłego rektora będą starania o zwiększenie nakładów na polską edukację i naukę.

Od 1990 r. przeprowadza się w naszej uczelni średnio 13 pozytywnie zakończonych przewodów habilitacyjnych rocznie; tyle też ich było w 1998 r. Uważam, że Politechnikę stać na więcej, tym bardziej, że tylko część habilitantów to pracownicy naszej Uczelni. Są przesłanki wskazujące, że w najbliższych latach liczba nowych doktorów habilitowanych znacznie wzrośnie. Symptomy spodziewanego wzrostu widać wyraźnie na Wydziale Architektury, gdzie od ponad 20 lat nie było żadnej habilitacji, a ostatnio rozpoczęto kilka przewodów habilitacyjnych, przy czym w roku bieżącym odbyło się już jedno kolokwium habilitacyjne.

Umiarkowanie cieszą rezultaty osiągnięte w zakresie promocji doktorskich. W latach 1990-1995 promowano w PG średnio po 26 doktorów rocznie, zaś w latach 1996-1999 po 43 rocznie, przy czym w roku ubiegłym było 46 promocji. Obecnie liczba uczestników studiów doktoranckich - 354 osoby, daje podstawę do oczekiwania w najbliższych latach znacznego wzrostu liczby nowych doktorów w naszej Uczelni. W minionej kadencji zostały uruchomione dwa nowe studia doktoranckie, jedno przeznaczone dla absolwentów Wydziału Elektrotechniki i Automatyki, a drugie dla absolwentów Wydziałów Mechanicznego, Oceanotechniki i Okrętownictwa oraz współpracującego z Politechniką Instytutu Maszyn Przepływowych PAN. Chcielibyśmy, żeby od nowego roku akademickiego uczestnikami studium przy WM mogli być również doktoranci z Wydziału FTMS. Jedynym zagrożeniem, i to nawet nie w rozwijaniu, ale w utrzymaniu obecnej liczebności uczestników studiów doktoranckich, jest spadająca systematycznie wysokość dotacji budżetowej dla doktorantów. Znow trudno zrozumieć, dlaczego władze państwowe, pośród których jest tak wielu przedstawicieli profesury, nie przywiązują wagi do kształcenia na najwyższym poziomie, a przecież dobrze wykształcona młodzież będzie naszym najważniejszym, może nawet jedynym atutem branim pod uwagę w zjednoczonej Europie. Nie możemy porównywać się z najbardziej rozwiniętymi krajami świata pod względem potencjału gospodarczego, dochodu narodowego, zasobów surowcowych, czy wreszcie potęgi wojskowej. Możemy jednak i powinniśmy zapewnić naszej młodzieży najlepsze wykształcenie. Uczelnie są do tego przygotowane i mogą podjąć każde wyzwanie edukacyjne, jednak środki na to potrzebne powinien zapewnić rząd, a ustawodawca stworzyć właściwe warunki ku temu. Młodym Polakom musimy stworzyć możliwości równego startu z ich rówieśnikami z krajów Europy Zachodniej. Już niedługo to z nimi właśnie przyjdzie nam konkurować.

Trzy lata temu pisałem o wstydlivej sprawie, jaką był nieuregulowany status doktorantów - uczestników studiów doktoranckich. Minęły trzy lata i pomimo wielokrotnych monitów ze strony wielu uczelni, w tym naszego Senatu i moich osobiście, nie została podjęta żadna inicjatywa zmierzająca do przyznania

doktorantom należnego im statusu prawnego. Dlaczego nikt poza doktorantami, rektorami i innymi nielicznymi pracownikami wyższych uczelni nie jest zainteresowany usunięciem tej nieprawidłowości i niesprawiedliwości? Doktoranci, tak ważni członkowie społeczności akademickiej, wciąż są pozbawieni najbardziej elementarnych praw socjalnych i obywatelskich. Podobno rodzący się projekt nowego "Prawa o szkolnictwie wyższym" rozwiązuje ten bolesny problem; oby tak było naprawdę i stało się jak najszybciej.

Działalność naukowa

uczelni wyższych jest oceniania, między innymi, liczbą i jakością publikowanych prac, potencjałem naukowym kadry, zapleczem aparaturowym i wielkością pozyskiwanych środków, a także współpracą z przemysłem i innymi instytucjami komercyjnymi, naukowymi, czy kulturalnymi, oraz administracją lokalną. Ważnym czynnikiem stymulującym badania naukowe jest międzynarodowa kooperacja. We wszystkich tych dziedzinach jest wiele do zrobienia. Całkowitej zmianie ulegną zasady przyznawania środków na badania przez Unię Europejską. Skorzysanie z tych środków będzie niezwykle trudnym, ale dającym satysfakcję zadaniem zarówno dla przyszłego prorektora ds. nauki, prodziekanów ds. nauki, jak i dla każdego ambitnego pracownika naukowego i naukowo-dydaktycznego. Wprost nieograniczone możliwości stoją otworem przed naukowcami odważnymi i dysponującymi atrakcyjnymi propozycjami. W czasie nadchodzącej kadencji powinno nastąpić całkowite zintegrowanie naszej działalności naukowej z Unią Europejską wg zasad w niej obowiązujących. Współpraca z przedsiębiorstwami po krachu z początku lat 90. powoli zaczyna się ożywiać. Obserwuje się coraz efektywniejszą formę bezpośredniego współdziałania z przedsiębiorcami, a pomoc z ich strony staje się coraz większa. Duże nadzieje pokładaliśmy w powołanej trzy lata temu Regionalnej Radzie przy PG. Niestety, Rada nie spełniła swojego zadania. Może było to spowodowane brakiem doświadczenia i brakiem umocowania prawnego? Jestem jednak przekonany, że Rada taka jest bardzo potrzebna, należy więc przeanalizować przyczyny niepowodzenia i podjąć próbę współpracy od nowa. Niepokojącą sprawą jest ignorowanie gdańskiego szkolnictwa wyższego przez władze miejskie. Sprawę tę poruszałem już wielokrotnie. Potwierdzeniem postawionej tezy jest ostatnio opublikowany *RAPORT o stanie miasta Gdańska*. Wynika z niego, że w mieście Gdańsku szkolnictwo wyższe nie istnieje! Nie ma się więc co dziwić, że trójmiejski ośrodek akademicki należy do najslabszych w Kraju. Bez opieki gospodarza nie uda się zapewnić żadnej instytucji właściwego rozwoju.

Jestem przekonany, że Politechnikę stać na realizację większej liczby grantów KBN. Koniecznym, acz niewystarczającym warunkiem otrzymywania grantów jest składanie właściwych wniosków. Wielu pracowników, w tym samodzielnych, nie składa wniosków w ogóle, lub też rezygnuje po pierwszej odmowie. Odmowa przyznania grantu powinna mobilizować do złożenia ulepszanego wniosku w myśl uzyskanych recenzji.

Z ubiegłorocznego raportu, który ukazał się w "Forum Akademickim" (9/98) wynika, że PG pod względem liczby ukazujących się publikacji i ich jakości zajmuje wysoką pozycję w kraju. Należy więc dążyć do jej wzmocnienia.

Działalność dydaktyczna

musi być otaczana specjalną troską przez każdego rektora. To studenci w znacznym stopniu decydują o pozycji i znaczeniu każdej uczelni. Od początku lat 90. szybko rosła liczba studentów studiujących w Politechnice Gdańskiej i rośnie nadal, po-

mimo zamrożenia w ostatnich latach liczby nowo przyjmowanych studentów na poziomie z 1994 r. Całkowita liczba naszych studentów wzrosła z 5 634 w 1990 r. do 15 945 osób w 1998 r. Na uwagę zasługuje rozwój studiów nie tylko na poziomie inżynierskim, ale również na najwyższym - doktoranckim. Dalszy ilościowy rozwój Uczelni jest utrudniony z powodu niewystarczającej bazy lokalowej. Dla stworzenia znośnych warunków studiowania dużą wagę przywiązywaliśmy do przywracania funkcji dydaktycznych salom zajęтым w przeszłości na inne cele, przeprowadziliśmy także adaptację innych pomieszczeń na cele dydaktyczne. Na podkreślenie zasługuje przebudowa nieczynnej od ponad dwudziestu lat kotłowni na zespół sal dydaktycznych, w tym nowoczesnego auditorium na 460 miejsc. Wiele wydziałów podjęło wysiłki modernizacji sal dydaktycznych ze środków pozabudżetowych, pochodzących głównie od współpracujących przedsiębiorstw. Największe osiągnięcia w tej dziedzinie zanotowały Wydziały BL i IS. Naszym najpilniejszym zadaniem w najbliższej przyszłości będzie rozpoczęcie budowy budynku dla WZE (plan techniczny na ukończeniu), przebudowa dachu i poddasza Gmachu Głównego, zwiększenie powierzchni Biblioteki Głównej i budowa nowego klubu dla pracowników i studentów.

Ciągle rosnąca liczba studentów jest powodem corocznego, rekordowego wzrostu liczby absolwentów. W latach 1995-98 dyplomy naszej Uczelni otrzymało odpowiednio 721, 1 006, 1 342 i 1 512 osób. Jest to ponad dwukrotny przyrost liczby absolwentów w ciągu 4 lat, a musimy być przygotowani na dalszy wzrost.

W najbliższych planach dydaktycznych znajduje się wspomniane już uruchomienie studiów magisterskich z matematyki, a także przyspieszenie prac związanych z wprowadzeniem kształcenia w dziedzinie inżynierii materiałowej, na którą istnieje duże zapotrzebowanie.

Dla studentów rozpoczynających studia w bieżącym roku zostanie wprowadzony kredytowy system punktowy. Ułatwi on naszym studentom podejmowanie studiów na innych uczelniach, w tym uczelniach zagranicznych. W związku z tym do obowiązującego Regulaminu Studiów należy przygotować stosowny aneks.

Bardzo cieszy wzrost aktywności studenckiej, obserwowany prawie we wszystkich dziedzinach. Na szczególną uwagę zasługuje umocnienie samorządności studentów, powrót do tradycji Neptunaliów, coraz lepsza działalność naukowych kół studenckich, sukcesy sportowców, Chóru PG i niektórych klubów. Ta działalność zasługuje na wszechstronną pomoc.

Sprawy ogólne

W latach 90. za pilne zadanie uznaliśmy przeprowadzenie generalnych remontów domów studenckich. Do 1997 r. zostały zakończone remonty DS5, DS6 i DS10. W ubiegłym roku rozpoczęto generalny remont DS1 i częściowy DS2. Ich zakończenie przewidziane jest jeszcze na rok bieżący. Dalsze plany remontowe domów studenckich będą zależały od kierunku reformy funduszu pomocy materialnej dla studentów. Jeżeli będzie on, co jest sygnalizowane przez MEN, przydzielany bez zwiększenia środków również studentom wyższych szkół prywatnych, będziemy zmuszeni zmniejszyć tempo remontów, ale nie zawiesimy ich całkowicie. Należy podkreślić, że znaczna część środków przeznaczonych na te prace pochodzi z dochodów własnych uczelni, głównie z wynajmowania pokoi w lecie turystom, w ramach "Akcji Lato".

Finanse Politechniki Gdańskiej, podobnie jak większości innych uczelni państwowych, są dalekie od zaspokojenia istniejących potrzeb. Przemiany społeczno-ekonomiczne przepro-

wadzone na początku lat 90. spowodowały pogorszenie kondycji finansowej lub wręcz upadek wielu państwowych przedsiębiorstw, co znacznie zmniejszyło dochody Uczelni wynikające ze współpracy z przemysłem. Sytuacja w tej dziedzinie zmienia się na lepsze, jednak tempo tych zmian jest stanowczo za wolne. Również od początku lat 90. systematycznie obniżane było budżetowe wsparcie nauki. Obecny poziom tej dotacji, wynoszący poniżej 0,5% PKB, stawia Polskę na samym końcu pośród państw europejskich. Na domiar złego dotacja na dydaktykę w szkołach wyższych również była obniżana, co przy równoczesnym wzroście liczby studentów spowodowało, do chwili obecnej, ponad trzykrotny spadek realnej dotacji na jednego studenta studiów dziennych. Pomimo tych trudności udało się nam ubiegły rok finansowy, po raz pierwszy od szeregu lat, zamknąć niewielką nadwyżką. Jednak wynik ten nie jest powodem do radości, osiągnięty bowiem został głównie poprzez znaczną redukcję godzin w programach studiów. Prawdopodobnie redukcja ta, jak każda wymuszona oszczędnościami, spowoduje obniżenie poziomu kształcenia. Nie zawsze jednak obniżanie liczby godzin w programie studiów powoduje spadek poziomu kształcenia. Można temu przeciwdziałać poprzez stworzenie miejsc do indywidualnej pracy studentów, a na to, niestety, nie pozwala nam niska dotacja budżetowa. Również możliwości pozyskiwania środków ze źródeł pozabudżetowych są obecnie bardzo ograniczone.

Oczywiście odchudzanie programów studiów nie jest jedynym przedsięwzięciem prowadzącym do obniżania kosztów kształcenia. Należy jednak zdawać sobie sprawę z tego, że nie mamy dużego pola manewrów, z uwagi na to, iż 80% tych kosztów stanowią nasze skromne wynagrodzenia wraz z pochodnymi. Wydatki rzeczowe, pomimo wciąż wysokiej inflacji,

utrzymujemy od kilku lat na niezmiennym poziomie. W celu obniżenia kosztów niektóre wydziały wprowadziły zajęcia w tzw. semestrze wakacyjnym. Dzięki temu zwiększone zostało wykorzystanie bazy lokalowo-aparaturowej. Warto tę inicjatywę rozszerzać.

Znaczące korzyści finansowe można uzyskać przez rozszerzenie studiów podyplomowych. Są nadal wydziały, na których ta forma kształcenia w ogóle nie występuje. Myślę, że studia podyplomowe powinny być ważną formą kształcenia, ponieważ polepszają kondycję finansową uczelni i cieszą się zainteresowaniem nie tylko młodzieży.

Środki finansowe, którymi dysponujemy, muszą być wydatkowane szczególnie racjonalnie. Byłem i będę przeciwny finansowaniu z dotacji statutowej i badań własnych wyjazdów na konferencje, których koszty znacznie przekraczają średni koszt konferencji w Europie. Wyjazdy na kosztowne konferencje będą mogły być realizowane jedynie po uzyskaniu dodatkowych środków ze źródeł pozabudżetowych.

W roku akademickim 1999/2000 czeka nas ogromny wysiłek dostosowania wszystkich uczelnianych aktów prawnych do nowego "Prawa o szkolnictwie wyższym". Niektóre z zapowiadanych zmian są wręcz rewolucyjne. Będziemy musieli zmienić Statut, Regulaminy, w tym wspomniany już Regulamin Studiów, a także algorytm rozdziału dotacji dydaktycznej.

Życie w uczelniach polskich na przełomie drugiego i trzeciego tysiąclecia toczy się wartko, warto w nim brać czynny udział.

*Prof. Aleksander Kołodziejczyk
Wydział Chemiczny*

PROF. HENRYK KRAWCZYK Kandydat na Rektora



Urodził się w roku 1946 w Dybowie. Stan rodzinny: żona Alicja i 3 córki: Beata, Magdalena i Karolina. VIII Liceum Ogólnokształcące im. Komisji Edukacji Narodowej w Gdańsku ukończył w roku 1964. Następnie studiował na Wydziale Elektroniki Politechniki Gdańskiej, uzyskując w 1969 r. dyplom mgr. inż. elektronika w zakresie automatyki. W latach 1969-1971 pracował w Przemysłowym Instytucie Telekomunikacji Oddział Gdańsk, a następnie został przyjęty na studium doktoranckie z Systemów Przetwarzania i Przesyłania Informacji

zorganizowane przez Wydział Elektroniki Politechniki Gdańskiej. Po dwóch latach został st. asystentem w Instytucie Informatyki. W roku 1976 obronił pracę doktorską z wyróżnieniem. Stopień naukowy doktora habilitowanego w dziedzinie informatyki uzyskał w 1987 roku, przedstawiając pracę pt. "Analiza i synteza samodiagnozowalnych systemów komputerowych". W roku 1996 uzyskał tytuł profesora. Od 28 lat pracuje na Wydziale Elektroniki, Telekomunikacji i Informatyki, z półroczną przerwą w roku 1987, gdy jako wykładowca przebywał na uniwersytecie Basra w Iraku. W latach 1989-1990 pełnił funkcję wicedyrektora Instytutu Informatyki, następnie przez dwie kadencje (1990-1996) funkcję dziekana Wydziału Elektroniki, Telekomunikacji i Informatyki. Od 1997 roku jest kierownikiem Katedry Architektury Systemów Komputerowych. Jest członkiem Komitetu Informatyki Polskiej Akademii Nauk (od 1993), a obecnie wiceprzewodniczącym tego Komitetu, członkiem Komisji Informatyki Komitetu Badań Naukowych (od 1994), członkiem Rady Naukowej Instytutu Podstaw Informatyki PAN (1998-2002), a także wiceprzewodniczącym Stowarzyszenia Absolwentów Politechniki Gdańskiej (od 1996) oraz wiceprzewodniczącym Stowarzyszenia Informatyki Stosowanej (od 1998). Jest również członkiem IEEE Computer Society (od 1994) oraz członkiem IFIP. W roku 1998 zorganizował i był przewodniczącym Komitetu Programowego IX Europejskiej Konferencji "Dependable Computing", która odbyła się w Gdańsku na Politechnice.

Opublikował 186 prac naukowych, z czego 50% indywidualnie; również 50% to publikacje, które ukazywały się za granicą, w takich czasopismach jak IEEE Transaction on Computer, Lecture Notes in Computer Science (Verlag Springer), Future Generation Computer System (North Holland), Microprocessing and Microcomputing (Euromicro), itp. Jest autorem lub współautorem 3 monografii (nie licząc rozpraw doktorskiej i habilitacyjnej). Ostatnia z nich pt. "Analysis and Testing of Distributed Software Application" została wydana w 1998 roku przez RSP London przy współpracy z John Wiley & Sons. Wykonał także szereg recenzji doktoratów, habilitacji i wystąpień o tytuł profesora, jak również ekspertyz dla KBN, MEN, i ostatnio dla Rady Europy. Był promotorem 5 prac doktorskich, a kolejnych 5 jego doktorantów ma otwarte przewody doktorskie. Poza tym opiekuje się 5 doktorantami na Studium Doktoranckim. Odbył kilka krótkoterminowych (2 tygodnie lub 1 miesiąc) staży zagranicznych, w tym w USA (University of Hampshire), we Włoszech (University of Bari i University of Lecce), w Hiszpanii (Autonomous University of Barcelona), Portugalii (Nova University of Lisbon), Anglii (University of Bristol, University New Castle, University of Westminster). Oprócz grantów krajowych MEN i KBN był lokalnym koordynatorem dwóch programów Tempus, dotyczących przetwarzania równoległego i studenckich lekcji multime-

dialnych, a także 3 programów Copernicus (1994-1998), dotyczących oceny jakości oraz testowania aplikacji równoległych i rozproszonych. Aktualnie jest kierownikiem projektu grantu celowego KBN, dotyczącego oprogramowania systemu monitorowania kontenerów, oraz projektu międzynarodowego INCO-ESPRIT dotyczącego przemysłowego wdrożenia pakietu testującego oprogramowania. Inne wdrożenia przemysłowe dotyczą oprogramowania mikroprocesorowych systemów selektywnego wywołania w niebezpieczeństwie, a także pakietów oceny jakości aplikacji użytkowych.

Prowadzi 5 wykładów podstawowych i specjalnościowych dla studentów kierunku Informatyka. Uruchomił i kieruje dwiema specjalnościami: *Przetwarzanie równoległe i rozproszone, informatyczne zarządzanie przedsiębiorstwem*. Opiekuje się wieloma dyplomantami, promując od 5 do 10 absolwentów każdego roku. Opublikował również na konferencjach krajowych i zagranicznych szereg prac z zakresu dydaktyki (nauczanie wspomagane komputerowo, organizacja laboratorium, projekt kursów). Prezentował wielokrotnie wykłady w kanale edukacyjnym Polskiej Telewizji Kablowej oraz jest współautorem książki multimedialnej z sieci i systemów rozproszonych. Udzielił kilka wywiadów jako ekspert w Computer World.

Zainteresowania dodatkowe: publicystyka i reportaż (PISMO PG) oraz turystyka.

Quo vadis Polytechnica Gedanensis?

Główne zadania rektora Politechniki Gdańskiej to zarówno kierowanie Uczelnią rozumiane jako podejmowanie odpowiednich decyzji, jak i służba na rzecz całej społeczności uczelnianej. Moim zdaniem do podstawowych obowiązków rektora należy:

- Dbanie o dobra uczelni w sensie jej zasobów i potencjału, tzn. ludzi (pracownicy, studenci), jak i bazy materialnej (finanse, laboratoria, pomieszczenia) oraz ich pełny rozwój czy rozbudowę zgodną z powszechnie uznawanymi standardami krajowymi i międzynarodowymi.
- Tworzenie właściwej atmosfery wśród pracowników, zapewniającej zarówno poczucie bezpieczeństwa, jak i wyzwalać zapał do pracy twórczej. Szczególne poświęcenie uwagi zadaniom naukowym, dydaktycznym oraz wychowaniu studentów.
- Rozwijanie różnych form współpracy zarówno wewnątrz uczelni, jak i na zewnątrz, w celu opracowania rozwiązań liczących się na rynku i stanowiących o prestiżu, dodatkowych źródłach dochodów oraz promocji Uczelni.

Osobiście dołożę wszelkich starań, by te obowiązki wypełnić jak najlepiej. Ich realizacja w dużej mierze zależy również od aktualnego stanu uczelni, jak też uwarunkowań zewnętrznych. W swoim wystąpieniu krótko ustosunkuję się do tych kwestii i następnie przedstawię szczegółowe zadania, którymi chciałbym się zająć.

Bieżącą kondycję Uczelni można rozpatrywać w czterech płaszczyznach:

- Światowych trendów,
- Aktualnej pozycji w rankingach krajowych,
- Odczuwalnej satysfakcji pracowników uczelni,
- Atrakcyjności oferty kształcenia dla studentów.

Nie sposób w krótkim opracowaniu przeprowadzić kompletnej oceny. Trudno jest również znaleźć jedną obiektywną metodę takiej analizy z uwagi na brak kompletnych statystyk, czy opinii ekspertów. Pozostawiam taką ocenę każdemu pracownikowi

i studentowi Politechniki Gdańskiej. Osobiście skupię się na sprawach moim zdaniem najistotniejszych dla rozwoju Uczelni

Przejsie od społeczeństwa przemysłowego do społeczeństwa informacyjnego

Rozwój różnego typu technologii, metod konstruowania i wytwarzania szeregu produktów użytkowych i systemów usługowych powoduje zmiany w funkcjonowaniu społeczeństwa. Panuje zgodna opinia, że w społeczeństwach wysoko uprzemysłowionych zmniejsza się znaczenie przetwarzania materii na rzecz przetwarzania informacji. Informacja staje się nie tylko ogólnie dostępnym towarem, ale również wpływa istotnie na poziom naszego życia. Prostym przykładem może być tutaj rozpowszechnienie się komputerów personalnych, Internetu, telefonów komórkowych, zastosowanie automatyzacji w różnych urządzeniach, nawet zwykłego domowego użytku. Postęp technik informacyjno-komunikacyjnych sprawił, że klasyczna informatyka (tzw. computer science) stała się małą częścią nowego świata, zaś znacznie większą rolę odgrywają systemy integrujące wiedzę z różnych dziedzin technicznych i humanistycznych. Coraz powszechniejsze wykorzystanie takich systemów powoduje zmiany w samym społeczeństwie, kreuując stopniowo tzw. społeczeństwo informacyjne. Na potwierdzenie tego faktu przytoczę jedynie podstawowe zadania zdefiniowane w V Ramowym Programie Unii Europejskiej i przeznaczone do realizacji w latach 1999-2002. Są to następujące grupy problemów z podaniem wysokości nakładów finansowych w ecu:

- Poprawa jakości życia i zarządzanie żywymi zasobami - 2005 Mecu,
 - Tworzenie przyjaznego społeczeństwa informacyjnego - 3925 Mecu,
 - Konkurencyjny i zrównoważony wzrost - 2895 Mecu,
 - Ochrona ekosystemów - 2320 Mecu.
- Poza tym proponuje się 3 programy horyzontalne:
- Utwierdzenie międzynarodowej roli wspólnotowych badań naukowych - 491 Mecu,

- Promocja innowacji małych i średnich przedsiębiorstw - 350 Mecu,
- Wzrost ludzkiego potencjału badawczego -1402 Mecu.

Proszę zauważyć, że proponowana przez Unię Europejską problematyka jest bardzo szeroka, dotyczy wielu dziedzin nauki i techniki, które są uprawiane na różnych wydziałach Politechniki Gdańskiej. Co więcej, jedna z grup tematycznych bezpośrednio dotyczy problemów społeczeństwa informacyjnego. Jest ona nie tylko najwyżej finansowana, ale również, co jest najważniejsze, zapewnia integrację różnych dyscyplin i specjalności naukowo-badawczych.

Uważa się, że kreowanie społeczeństwa informacyjnego odbywa się etapami. Pierwszym jest rozwój sieci komputerowych i powszechny dostęp do Internetu. Następnym utworzenie baz danych i baz wiedzy zawierających ogromne zbiory informacji z różnych dziedzin (ang. digital libraries). Rozwój handlu elektronicznego, zintegrowanych systemów geograficznych (GIS), transportowych (GTS), czy produkcyjnych (CIM) prowadzi do wytworzenia się nowego typu przedsiębiorstw wirtualnych (ang. virtual enterprises), gdzie pracownicy tworzą dynamicznie zmieniające się zespoły zorientowane na rozwiązanie konkretnego problemu i na tej podstawie wytworzenie odpowiedniego produktu. Najwyższym etapem rozwoju jest nowoczesne państwo wypełniające swoje funkcje poprzez zarządzanie informacyjne i jakościowe (ang. digital government), gdzie oprócz tradycyjnych relacji między rządzącymi a rządzonymi dostępne są nowe formy współpracy oparte na technologiach informacyjno-komunikacyjnych, włączając w to techniki multimedialne.

Tego typu transformacja niesie nowe problemy i bardzo interesujące zadania do rozwiązania dla badaczy, inżynierów, menedżerów i organizatorów. Pojawiają się również nowe zagrożenia (choćby szeroko nagłaśniany problem roku 2000). Dostęp do wielu podstawowych informacji, dzięki odpowiednim inteligentnym narzędziom wspomagającym wyszukiwanie, będzie coraz bardziej uproszczony do takiego stopnia, by z tych informacji mógł korzystać każdy zwykły użytkownik. Wielkie znaczenie będą miały zatem te projekty, które zaowocują oryginalnym rozwiązaniem i zostaną pozytywnie i szybko zweryfikowane przez konkurencję lub klientów. Decydować tu będzie odpowiednia integracja różnych specjalistów czy całych zespołów interdyscyplinarnych. Przykładem takiego podejścia jest przygotowanie stacji kosmicznej Alfa, która realizowana była przy współpracy 17 krajów i która będzie eksploatowana jako laboratorium badawcze przez wiele lat. Udział w tego typu pracach będą brali w coraz większym stopniu badacze z różnych krajów, tworząc odpowiednie zespoły interdyscyplinarne.

Na tym tle pojawia się zatem pytanie, jaka musi być rola nowoczesnych uczelni (w tym technicznych) w przygotowaniu właściwej kadry i nauczaniu społeczeństwa korzystania z nowoczesnych technologii. Moim zdaniem, oprócz pokazania, jak powinien być zbudowany tryb przekładni zębatej, czy pojedynczy tranzystor w układzie elektronicznym oraz przedstawiania podstawowych zasad konstrukcji całego systemu napędów, czy ich sterowników złożonych z miliona elementów, konieczna staje się dodatkowa wiedza dotycząca wykorzystania takich urządzeń w zintegrowanych systemach sterowania i kontroli rozmieszczonych nawet w różnych zakątkach świata. Wymagana jest przy tym również umiejętność współpracy i komunikacji różnych zespołów badawczych, przełamanie barier specjalności naukowych, rozwijanie zdolności menedżerskich, czy zrozumienie różnic kulturowych.

O rozwoju społeczeństwa informacyjnego decydować będą w równej mierze aspekty techniczne i humanistyczne oraz

poziom wykształcenia społeczeństwa. Dlatego tak ważny jest wysoki współczynnik skolaryzacji, umiejętność rozwiązywania złożonych problemów, umiejętność pracy w zespołach interdyscyplinarnych, ale także elastyczność i ustawiczność kształcenia przy wykorzystaniu różnych form dostępu do wielu źródeł informacji i zapewnienie szybkiej zmiany kwalifikacji.

Jaka jesteś, Politechniko?

Politechnika, jako swojego rodzaju przedsiębiorstwo, może być oceniona najlepiej przez zewnętrznego audytora, który posługuje się na ogół zestawem odpowiednich wskaźników. Znacznie trudniej jest dokonać oceny przez pracownika wewnętrznego, dlatego, jak wspomniałem, zwrócę uwagę na pewne sprawy, które moim zdaniem powinny być załatwiane w zbliżającej się kadencji władz Uczelni.

Na początku, wykorzystując tę niepowtarzalną okazję, chciałbym podziękować wszystkim Rektorom Politechniki Gdańskiej, jak i pozostałym pracownikom, którzy włożyli wiele trudu, by szybko rozwijała się nasza Alma Mater. Lista osiągnięć jest znaczna. Rzesze absolwentów są dumne ze swojej Uczelni, chętnie wracają do wspomnień i spędzonych na Uczelni lat. Wielu nauczycieli akademickich i pracowników inżynierjno-technicznych rozślawiło również imię naszej Uczelni na całym świecie. Można również podać sporo bieżących sukcesów naukowo-badawczych czy dydaktycznych.

Zarządzanie Uczelnią powinno być nowoczesne i dopasowane do zachodzących przeobrażeń społeczno-gospodarczych, co umożliwi Uczelni stopniową adaptację do gospodarki rynkowej. Jest to proces trudny i stopniowy. Nie należy więc czekać do czasu przygotowania nowej ustawy o szkolnictwie wyższym, gdyż wówczas najwięcej zyskiwać będą uczelnie, które szybciej dostosują się do nowych warunków. Nie należy również działać szybko i chaotycznie, gdyż to przynosić będzie mnóstwo problemów. Pouczającym ostrzeżeniem są kłopoty obserwowane podczas wdrażania reformy w służbie zdrowia. Konieczny jest więc w postępowaniu wyważony kompromis, który zapewni łagodne przeobrażenie i wyeliminuje różne przypadkowe błędy. Stopniowe przemiany polepszą też wizerunek Uczelni, będzie ona spozstrzegana jako przyszłościowa, zdolna do podejmowania nowych wyzwań i do rozwiązywania z powodzeniem różnych nowych zadań oraz atrakcyjna dla studentów, pracowników i zleceniodawców.

Należałoby wypracować koncepcję elastycznego systemu kształcenia na wszystkich poziomach: od inżynierskiego, poprzez magisterski do doktoranckiego, i uzupełnić go o różnego typu kursy doszkalające i studia podyplomowe zapewniające uczestnikom rozwój zawodowy i przeorientowanie zawodowe. Warto sięgnąć do dorobku wielu programów TEMPUS, zrealizowanych na wydziałach Politechniki Gdańskiej i w kraju, które poświęcone były organizacji studiów, rozwojowi laboratoriów, czy unowocześnianiu programów. Koncepcja tworzenia elastycznego systemu kształcenia powinna być wdrażana również stopniowo w zależności od przygotowania wydziału i powinna prowadzić do nowoczesnego i zintegrowanego systemu edukacji ustawicznej. Podstawą takiego systemu jest koncepcja punktów kredytowych. Rozumiem trudności w jej wdrożeniu, jednakże takie rozwiązanie racjonalizuje koszty kształcenia, upraszcza organizację pracy wydziałów, a poprzez równoległe z nim realizowany system akredytacji włącza Uczelnię w spójny system edukacyjny krajowy i zagraniczny.

Należałoby rozpocząć aktywną promocję interdyscyplinarnych prac badawczych odzwierciedlających rzeczywiste potrzeby naszego regionu. W systemie rynkowym ważne jest obniżanie kosztów wytworzenia produktów przy jednoczesnym zachowaniu wysokiej jakości, bądź zauważenie nowych po-

trzeb, które uzupełni nowy produkt czy nowa usługa. W przypadku Uczelni, istotne byłoby podejmowanie konkretnych prac, dotyczących problemów otwartych, z którymi nie umieją poradzić sobie lokalne samorządy. Co więcej, początkowy zakres prac mógłby być finansowany z własnych funduszy działalności statutowej (DS) czy badań własnych (BW), a otrzymane wyniki pośrednie powinny zachęcać władze regionu do sfinalizowania dalszej, znacznie kosztowniejszej ich części. Potencjał naukowy istniejący na wydziałach jest ogromny i umiejętny dobór zespołów zapewniłby obiecujące wyniki. Rozkręcenie koniunktury zintegrowanych badań zachęcałoby do pozostawiania na Uczelni zdolnych absolwentów, a realizacja śmiałych projektów zapewniałaby im satysfakcję materialną i intelektualną. Nie możemy spóźnić się, bo inaczej pieniądze z Unii Europejskiej oczekiwane po ostatnim Szczycie Berlińskim, będą spożytkowane tylko przez firmy prywatne.

Wydziały uzyskały sporą samorządność pod względem merytorycznym, finansowym i kadrowym, ale niestety z powodu sytuacji finansowej mają ograniczone pole manewru. Taka sytuacja jest spowodowana niską dotacją dydaktyczną z Ministerstwa Edukacji Narodowej (MEN). Nie dotyczy to tylko naszej Uczelni. Ministerstwo Edukacji Narodowej z jednej strony, dzięki alarmistycznym sygnałom z uczelni, zdaje sobie sprawę, że dotacje dydaktyczne są za niskie. Z drugiej zaś strony zakłada, że mimo niskich nakładów, uczelnie jakoś sobie radzą. Dodatkowo, przy różnych okazjach, stawia im za wzór szkoły niepaństwowe, które w tym samym czasie rozwijają się w szybkim tempie. Sprawy te powinny zostać jednoznacznie uregulowane w nowej ustawie o szkolnictwie wyższym!

Deficyt uczelni jest zmniejszany w różny sposób. Przeznacza się na to znaczną część funduszy amortyzacji, działalności statutowej, czy badań własnych. Redukuje się koszty kształcenia poprzez zwiększony nabór studentów lub przerzuca się część tych kosztów bezpośrednio na studentów. W konsekwencji nie znane są rzeczywiste koszty kształcenia na uczelniach. Konieczne jest ich oszacowanie, gdyż to dopiero byłoby podstawą do merytorycznej dyskusji o finansowaniu uczelni państwowych oraz do podjęcia decyzji o zaprzestaniu wieloletnich praktyk dofinansowania dydaktyki z innych źródeł. Poza tym długi wynikające z zanizonej dotacji powinny pozostawać u decydentów, a nie u bezpośrednich wykonawców zadań dydaktycznych.

Już w niedługim czasie Uczelnia powinna znaleźć swoje miejsce w społeczeństwie informacyjnym. Konieczne staje się zatem jej dalsze komputeryzowanie, zarówno w strukturze pionowej (centrum - wydziały - katedry), jak i strukturach poziomych (powiązania między jednostkami centralnymi, czy powiązania między wydziałami). Sporo doświadczeń zdobyto już w ramach budowy sieci TASK, rozwoju pakietów zarządzania uczelnią, ulepszaniu systemu bibliotecznego lub budowy różnych programów wydziałowych. Konieczna jest teraz tylko odpowiednia koordynacja dalszych przedsięwzięć i stopniowa integracja zarówno pionowa, jak i pozioma.

Propozycja programu działania

W kontekście wymagań, jakie współcześnie stawia się Politechnice, chciałbym zająć się następującymi zagadnieniami:

- Stymulowanie współpracy międzywydziałowej poprzez interdyscyplinarne projekty badawcze, wdrożeniowe i celowe zorientowane na potrzeby naszego regionu co stworzy korzystne warunki współpracy między Uczelnią a Samorządami.

- Przyspieszenie prac nad budową elastycznego systemu kształcenia, z kontrolą jakości dydaktyki, uwzględniającego rzeczywiste zapotrzebowanie rynku pracy i opartego na współpracy wydziałów PG i innych uczelni Trójmiasta.
- Zapewnienie właściwej promocji Uczelni, jej osiągnięć zespołowych i indywidualnych, aby doprowadzić do szerokiej współpracy z innymi partnerami krajowymi i zagranicznymi i zapewnić aktywny udział przy realizacji różnych zadań, w tym V Ramowego Programu Unii Europejskiej.
- Tworzenie atmosfery sprzyjającej pracy twórczej, wyróżnianie rzetelnych pracowników utożsamiających się z Uczelnią, premiowanie nowych przedsięwzięć i zapewnienie właściwych warunków socjalnych pracownikom i studentom w porozumieniu ze związkami zawodowymi i Samorządem Studentckim.
- Przeprowadzenie reformy zarządzania Uczelnią, w celu usprawnienia jej funkcjonowania oraz zmniejszenia kosztów utrzymania, preferującego wysoką jakość nauki i dydaktyki, zwiększenie samodzielności wydziałów, a także poziome i pionowe zintegrowanie informatycznych pakietów zarządzających.
- Utworzenie lobby na rzecz zmiany zasad finansowania wyższych uczelni, wymuszającego nowe, racjonalne podejście, które w przyznawanych dotacjach uwzględni rzeczywiste koszty kształcenia.

Realizacja tych zadań będzie dobrym wejściem w nowe Milenium, jak i godnym podkreśleniem zbliżającej się rocznicy 100-lecia Uczelni.

Ważne jest nie tylko, to co należy zrobić, ale również w jaki sposób tego dokonać. Jako dziekan Wydziału Elektroniki, Telekomunikacji i Informatyki przekonałem się, że słuszna i skuteczna jest następująca zasada:

*Fikcji nie tworzyć,
Bytów nie mnożyć,
Wyrażać fakty jak najprościej!
Jakość utrwać,
Nieżgodę obalać,
Porywać serca do pracy wzniosłej!*

Ta generalna idea niesie wiele przesłanek dla dynamicznego rozwoju Politechniki Gdańskiej. Nie pozwala zagubić się w szczegółach, które choć istotne, nie mogą pozostawać bezpośrednio pod kontrolą rektora.

Podsumowanie

Plan mojego działania uwzględnia perspektywiczne i aktualne kierunki rozwojowe wyższej uczelni. Nie precyzuję dokładnie zadań wynikających z codziennej działalności rektora, bo zamierzam współpracować z kompetentnymi osobami, doskonale znającymi potrzeby i możliwości poszczególnych jednostek organizacyjnych. Pragnę dążyć do zrealizowania generalnej strategii, która powinna przynieść istotne korzyści zarówno Uczelni, jak i jej poszczególnym pracownikom oraz studentom. Zachowanie spójności różnych starań i różnych celów jest istotne i napawa nadzieją. Chcę dzielić się kompetencjami, ale i więcej wymagać, chcę stymulować aktywność, cenić skuteczność i dowartościować rzetelność i poświęcenie się Uczelni. Chciałbym też, by wokół pięknego gmachu Auditorium Novum zbudować jeszcze coś więcej. Coś niematerialnego, będącego stałym gwarantem dalszego rozwoju naszej Alma Mater - Mens Nova - nowy sposób myślenia!

*Prof. Henryk Krawczyk
Wydział Elektroniki, Telekomunikacji i Informatyki*

Profesor zw. dr hab. inż. Marian Cichy



Uroczystość wręczenia Złotego Medalu za Zasługi dla Politechniki Gdańskiej

Profesor Marian Cichy urodził się 9 stycznia 1931 r. w Warszawie. W 1938 r. rozpoczął naukę w szkole powszechnej; pod koniec okupacji kontynuował ją w gimnazjum na tajnych kompletach. W czasie powstania warszawskiego rodzinę spotkała tragedia, jego ojciec wyszedł z domu do pracy w szpitalu powstańczym i zginął bez wieści, zaś on sam został ciężko ranny.

Wojna pozbawiła rodzinę mieszkania na Żoliborzu i całego dobytku. Po okresie tułaczki powrócił do Warszawy, znalazł pokój i kontynuował naukę w gimnazjum. Będąc starszym z braci, musiał pomóc chorej matce w utrzymaniu rodziny, pracował u szewca i fryzjera. W 1945 r. wraz z matką i bratem przeniósł się do Elbląga, gdzie w 1947 r. ukończył Gimnazjum im. Jagiellończyka i rozpoczął naukę w liceum mechanicznym. Konieczność utrzymywania rodziny zmusiła go do przeniesienia się do szkoły wieczorowej i podjęcia pracy w gazowni miejskiej. Maturę w liceum uzyskał w 1950 r. i w tym samym roku został studentem Wydziału Mechanicznego Politechniki Gdańskiej. Dyplom inżynierski uzyskał w 1954 r., po czym kształcił się dalej na kursie magisterskim. Podczas studiów aktywnie i z sukcesami uprawiał lekkoatletykę, zdobył mistrzostwo Politechniki w skoku w dal. Był zawodnikiem klubu "Spójnia" razem z takimi późniejszymi sławami, jak Ela Duńska-Krzesińska, Andrzej Krzesiński i Janusz Sidło.

Jeszcze podczas studiów podjął pracę w tzw. wówczas "gospodarstwie pomocniczym" Katedry Silników Spalinowych, początkowo jako kreślarz, a potem konstruktor w zespole projektującym i badającym prototyp silnika kutrowego "Puck".

Po ukończeniu studiów magisterskich z oceną bardzo dobrą, został zatrudniony w 1955 r. jako asystent w Katedrze Silników Spalinowych. Katedrze tej poświęcił całe swoje życie zawodowe, przechodząc wszystkie stanowiska: od asystenta do profesora zwyczajnego.

Podczas studiów w 1953 r. zawarł związek małżeński z panną Janiną Dauksza, świeżo upieczoną maturzystką. W roku 1956 urodziła się im córka Katarzyna, obecna kierowniczką klubu integracyjnego "Winda", zaś w 1959 r. syn Ryszard, obecnie informatyk prowadzący własną firmę. Pani Janina, już jako matka, rozpoczęła studia matematyczne na WSP, które mimo nawału obowiązków ukończyła w terminie jako magister mate-

matyki, po czym aż do przejścia na emeryturę wykładała w szkołach średnich.

W początkowym okresie pracy naukowej Marian Cichy zainteresował się nowatorskimi wówczas zagadnieniami silników samochodowych z wtryskiem benzyny. Problematyka ta stała się tematem jego pracy doktorskiej pt. "Podciśnieniowa regulacja składu mieszanki w silnikach z wtryskiem benzyny", obronionej na Wydziale Maszynowym 19 grudnia 1962 r. Był doktorantem Profesora Adolfa Polaka, który w 1959 r. przeszedł do Katedry Silników Spalinowych i został jej kierownikiem.

Po uzyskaniu stanowiska adiunkta w 1963 r. rozpoczął intensywną działalność dydaktyczną i badawczą, poświęconą silnikom samochodowym. Odbił szereg staży w fabryce samochodów osobowych, fabryce samochodów ciężarowych, biurach konstrukcyjnych i jako członek załogi maszynowej na statkach. Pierwszy staż zagraniczny odbył w 1963 r. w Moskiewskim Instytucie Samochodowo-Drogowym. Stopień doktora habilitowanego uzyskał w grudniu 1970 r. na Wydziale Pojazdów i Maszyn Roboczych Politechniki Warszawskiej, przedstawiając rozprawę pt. "Badanie silników samochodowych w stanach nieustalonych za pomocą wymuszeń sygnałem zdeterminowanym".

Jeszcze przed habilitacją, w 1968 r. uzyskał stanowisko docenta, po czym w 1969 r. został z-cą dyrektora Instytutu Techniki Ciepłej, który na ówczesnym Wydziale Budowy Maszyn obejmował problematykę termodynamiki, energetyki cieplnej, silników, sprężarek, chłodnictwa i klimatyzacji.

Główne kierunki prac badawczych, prowadzonych po uzyskaniu habilitacji, to:

- zagadnienia regulacji silników spalinowych,
- dynamika procesów ze szczególnym uwzględnieniem układu silnik-odbiornik energii,
- konstrukcja aparatury i automatyzacja badań silników.

W 1970 r. zorganizował interdyscyplinarny zespół, który opracował szereg zautomatyzowanych komputerowych stanowisk do badania maszyn cieplnych. Stanowiska te zostały zainstalowane w WSK Rzeszów (badania turbin gazowych), WSK Mielec (badania silników Diesla), FSO Warszawa oraz Fabryce Autobusów SAN. Obok tego w zespole skonstruowano oryginalne zintegrowane systemy chłodzenia silników.

W 1971 r. docent Cichy wyjechał na staż naukowy do Politechniki Turyńskiej. W następnych latach był zapraszany jako "visiting professor": dwukrotnie do Instytutu Silnikowego w Neapolu, Departamentu Konstrukcji Maszyn Politechniki Turyńskiej i Państwowego Instytutu Pomiarów w Turynie. Prowadził tam badania własności dynamicznych silników w stanach nieustalonych, symulacyjne badania przekładni automatycznych dla firmy "Fiat" oraz badania symulacyjne układów do pomiaru natężenia przepływu cieczy.

W roku 1977, w wieku 46 lat, uzyskał tytuł naukowy profesora nadzwyczajnego.

Profesor Cichy pełnił w Politechnice Gdańskiej ważne funkcje organizacyjne: prorektora ds. ogólnych w latach 1972-1975, prorektora ds. rozwoju w latach 1975-1978 i rektora Politechniki Gdańskiej w latach 1978-1981. Po zakończeniu kadencji nie kandydował po raz drugi. Należał do PZPR, legitymację partyjną oddał publicznie w trzecim dniu stanu wojennego. W 1989 r. został wybrany członkiem Komisji Zakładowej "Solidarność".

Działalność naukowa Profesora Cichego w latach osiemdziesiątych i późniejszych jest kontynuacją i rozwinięciem kierunków wcześniejszych prac. Główne zainteresowania obejmują metody komputerowego modelowania układów fizycznych. Dotyczy tego cykl 52 seminariów naukowych zorganizowanych w Katedrze. Podstawowym narzędziem tych prac jest metoda grafów wiązań (Bond-Graph) i równań stanu. Podczas kolejnego wyjazdu do Uniwersytetu Rzymskiego w 1982 r. wygłasza cykl seminariów dla pracowników naukowych Departamentu Mechaniki i Aeronautyki oraz prowadzi prace dotyczące silników Stirlinga. Powstaje kilkanaście poważnych wspólnych publikacji, prezentowanych na konferencjach międzynarodowych i w najważniejszych czasopismach. Wyrazem zdobytego autorytetu międzynarodowego są zaproszenia do udziału w Komitecie naukowym konferencji nt. silników Stirlinga (Rzym) i prowadzenia sesji (Tokio).

Dalsze prace Profesora dotyczą nowego podejścia do mechaniki układów korbowych, obliczeń wymienników ciepła, modelowania wymiany ciepła w stanach nieustalonych oraz modelowania pojazdów i maszyn roboczych z silnikami spalinowymi. Wnosi poważny wkład do modelowania ruchu pojazdów przez wprowadzenie nowego podejścia do tzw. gęstości czasowej. Opracowuje (część wspólnie z synem Ryszardem) szereg specjalistycznych programów komputerowych. Zajmuje się także metodami optymalizacji numerycznej w zastosowaniu do pojazdów. Prowadzi duże prace zespołowe w ramach ówczesnych "problemów centralnych". W roku 1983 wydaje skrypt pt. "Silnik o działaniu cyklicznym", będący faktycznie monografią, bardzo wysoko cenioną wśród specjalistów.

W 1991 r. uzyskuje stanowisko profesora zwyczajnego. Kieruje Katedrą Silników Spalinowych i Sprężarek w latach 1992-1997. Przez wiele lat jako pełnomocnik rektora organizuje współpracę Politechniki Gdańskiej z uczelniami włoskimi.

Oddzielnym polem pracy Profesora Cichego było doskonalenie laboratorium Katedry poprzez budowę aparatury badawczej, rozbudowywanie i instalowanie nowych stanowisk. To w dużej części Jego zasługą jest to, że obecnie laboratorium Katedry, w wysokim stopniu skomputeryzowane i uzupełniane



*Przy kominku w domku letniskowym.
Profesor Cichy z żoną i prezydent firmy
"Flowtron" Walter Masnik (1979 r.)*

o najnowsze silniki (Mercedes, Kawasaki), a także nowe stanowiska (pojazd hybrydowy, hamownia podwoziowa, aparatura do pomiaru składu spalin) jest jednym z najlepszych w kraju.

Imponujący jest dorobek Profesora Cichego w zakresie kształcenia kadry naukowej: jest promotorem 14 zakończonych przewodów doktorskich (w tym 6 elektroników), a 3 dalsze są w toku. Dowodem Jego wielkiego autorytetu w kraju oraz pragmatyzmu i życzliwości jest udział w przewodach habilitacyjnych i nominacjach profesorskich. Na zlecenie CK i rad wielu wydziałów opracował ponad 20 recenzji habilitacyjnych i 26 profesorskich.

Jest członkiem, bądź członkiem założycielem szeregu towarzystw, m.in. Towarzystwa Naukowego Motoryzacji i Towarzystwa Pojazdów Ekologicznych.

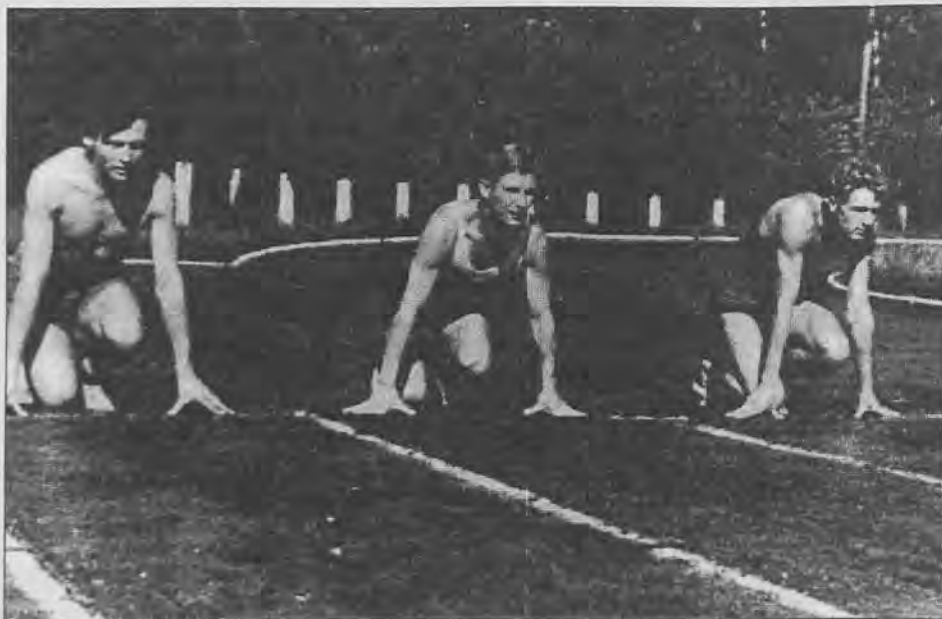
Za swą pracę otrzymał liczne odznaczenia, m.in. Medal Komisji Edukacji Narodowej, Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski i inne.

Zmagając się z chorobą oczu, po kilku operacjach, Profesor Cichy zdecydował się z początkiem 1999 roku przejść na emeryturę. W dalszym ciągu aktywnie pracuje, wykładając m.in. na

Studium Doktoranckim, prowadzi duży grant KBN dotyczący modelowania pracy reaktorów katalitycznych silników samochodowych, przygotowuje nową książkę.

Wielką radością Profesora jest piękny dom letniskowy, położony na skraju wsi Lemany nad jeziorem Gowidlińskim. Spędza tam wolny czas wraz z Rodziną i psem, zajmując się ogrodem i delektując wszelkimi przyjemnościami pobytu na łonie przyrody.

W uznaniu wieloletniej pracy i wielkich zasług Profesora Cichego, Rektor uhonorował go, jako trzecią z kolei osobę, najwyższym odznaczeniem Uczelni - Złotym Medalem za Zasługi dla Politechniki Gdańskiej. Jest to okazja do złożenia Profesorowi Cichemu najserdeczniejszych życzeń zdrowia i wszelkiej pomyślności oraz dalszej owocnej pracy dla dobra nauki i naszej Uczelni.



Na starcie. Marian Cichy po prawej stronie (1952 r.)

*Andrzej Balcerski
Wydział Mechaniczny*

“Człowiek roku 1997/98”

*Kto chce, szuka sposobów,
kto chce, szuka powodów.*

Ostatnie lata to szereg zmian zachodzących w naszym kraju, zarówno na płaszczyźnie społecznej, jak i na scenie politycznej. Zbliżając się coraz bardziej ku strukturom Unii Europejskiej, jak również będąc pełnoprawnym członkiem NATO, trzeba zwrócić szczególną uwagę na nowe kadry inżynierskie, które w przyszłości będą kierować rozwojem gospodarczym naszego kraju. Ale aby móc kształcić i kreować nowe kadry inżynierskie, trzeba mieć dobre zaplecze naukowo-kadrowe. Szczególnie, jeśli chodzi o kształcenie nowych kadr inżynierskich, trzeba zwrócić uwagę na ludzi, którzy je kreują. Ci, którzy oddali naukę i krajowi dużą część życia, powinni być doceniani, aby przyszli inżynierowie widzieli sens pracy naukowej. Tych, którzy osiągnęli przysłowiowy sukces, powinniśmy przedstawić jako wzór do naśladowania. W przeprowadzonej poniżej rozmowie same nasuwają się sugestie i stwierdzenia, jakie osoby powinny kształcić i promować kadry inżynierskie nie tylko dla świata elektrotechniki, ale dla całej polskiej nauki. Podczas jednego z grudniowych popołudni spotkaliśmy się z taką osobą. Jest nią prof. zw. dr hab. inż. Jacek Marecki. Zadaliśmy naszemu Rozmówcy kilka pytań.

Otrzymał Pan prestiżową nagrodę Siemens. Za co przyznano Panu tę nagrodę?

Tak, otrzymałem niedawno nagrodę naukową Siemens. Międzynarodowe jury pod przewodnictwem rektora Politechniki Warszawskiej z udziałem przedstawicieli firmy Siemens uhonorowało mnie tą nagrodą, którą otrzymałem za utworzenie szkoły naukowej i osiągnięcia w kształceniu akademickim. W uzasadnieniu decyzji o przyznaniu mi nagrody wymieniono również: wieloletnią działalność naukową w zakresie energetyki (od czerwca 1951 r.), kształcenie i promowanie młodszych pracowników naukowych, w tym kilkunastu doktorów nauk technicznych, a także wieloletnią działalność w Komitecie Problemów Energetyki PAN, któremu przewodniczę już przez piątą kadencję, oraz w Komitecie Badań Naukowych, w którego skład wchodziłem z wyboru przez dwie kadencje do maja 1997 r. Rektor naszej Uczelni, prof. A. Kołodziejczyk, specjalnie pojechał do Warszawy na uroczystość wręczenia mi tej nagrody w dn. 1 czerwca 1998 r., a później zaprosił mnie na posiedzenie Senatu, aby złożyć mi gratulacje i życzenia. Otrzymałem również z Centrum Biograficznego, mieszczącego się w Cambridge w Wielkiej Brytanii, dokument stwierdzający, że zostałem uznany za człowieka roku 1997/98.

Jest Pan członkiem Komitetu Problemów Energetyki PAN. Został Pan również wybrany na członka korespondenta PAN. Od kiedy Pan pełni tę funkcję?

Na członka korespondenta Polskiej Akademii Nauk zostałem wybrany w roku 1991. W ramach korporacji PAN działają wydziały, oddziały terenowe i komitety naukowe. Na terenie Polski Północnej funkcjonuje oddział PAN w Gdańsku, który skupia 24 członków PAN. W tym właśnie oddziale zostałem wybrany na wiceprezesa. Prezesem jest profesor Piotr Wilde z Instytutu Budownictwa Wodnego PAN. W poprzedniej kadencji byłem również wiceprezesem. Kadencja trwa 4 lata, a więc obejmuje teraz lata 1999-2002. Natomiast Komitet Problemów Energetyki PAN jest jednym z kilkunastu komitetów przydzielanych. Jest on bezpośrednio podporządkowany kie-

rownictwu PAN. W skład Komitetu wchodzi ok. 40 członków. Pierwszym przewodniczącym tego komitetu był profesor Kopecki, a od roku 1984 do dnia dzisiejszego ja pełnię funkcję przewodniczącego, już przez piątą kadencję.

W naszym życiu politycznym zachodzą ciągle zmiany. Jak Pan ocenia przemiany na naszej Uczelni?

Myślę, że nastąpiło pewne zamknięcie się w sobie, pomimo iż wiele się dzieje. Sądzę, że wystarczyłoby się bardziej otworzyć na współpracę z innymi ośrodkami naukowymi, w tym również z instytutami PAN. Rozwój historyczny doprowadził chyba do tego, że Politechnika Gdańska, którą w pierwszych latach po wojnie uważano za drugą uczelnię techniczną w Polsce, znalazła się teraz na znacznie dalszej pozycji, głównie ze względu na malejącą liczbę profesorów.

Kiedy zetknął się Pan po raz pierwszy ze Stowarzyszeniem Elektryków Polskich?

Po raz pierwszy zetknąłem się ze Stowarzyszeniem Elektryków Polskich tu, na Wydziale Elektrycznym PG. Kilkakrotnie chodziłem na zebrania tutejszego Koła SEP. Potem, gdy wróciłem z Wrocławia do Politechniki Gdańskiej i zostałem przyjęty na studia doktoranckie, czyli tzw. aspiranturę naukową, w 1956 roku formalnie wstąpiłem do SEP-u i zostałem wybrany na sekretarza Koła SEP przy PG, czyli Koła nr 1 Oddziału Gdańskiego SEP. Byłem przez dwa lata sekretarzem tego Koła, a później wyjechałem za granicę. Profesor Kopecki zachęcił mnie bowiem do złożenia podania o stypendium British Council. Za pierwszym razem mi odmówiono, ale podanie złożyłem ponownie i otrzymałem stypendium na jeden rok pobytu w Wielkiej Brytanii. Wyjechałem tam w 1958 roku i przez rok byłem za granicą. W okresie do czerwca 1959 r. ukończyłem studium podyplomowe w Royal College of Science and Technology w Glasgow.

Otrzymałem tam dyplom oraz związane z nim prawo noszenia krawatu tej uczelni. Później, w latach sześćdziesiątych, ta uczelnia otrzymała status uniwersytetu technicznego i nosi obecnie nazwę Strathclyde University.

Pełnił Pan i pełni liczne funkcje w Stowarzyszeniu Elektryków Polskich. Jak postrzega Pan SEP dziś, a jak postrzegał je Pan dawniej?

Widzę różnice. W dawnych latach było może większe zainteresowanie pracą stowarzyszeniową. Do SEP-u należało wielu członków w wieku dojrzałym, w pełni sił. Natomiast w ostatnich latach dopływ młodych ludzi do SEP-u jakby się zmniejszył i Stowarzyszenie stało się do pewnego stopnia stowarzyszeniem weteranów.

Co zaliczyłby Pan do swoich głównych osiągnięć naukowych?

Do głównych osiągnięć zaliczam pracę z zakresu skojarzonej gospodarki ciepło-elektrycznej, tzn. z zakresu skojarzonego wytwarzania ciepła i energii elektrycznej w elektrociepłowniach. Z tą tematyką była związana moja praca doktorska (1961 rok) i habilitacyjna (1966 rok), a później książka pod tytułem: “Gospodarka skojarzona ciepło-elektryczna”, której trzy wydania ukazały się w Polsce, a dwa - w językach obcych (w roku 1978 w języku czeskim i w roku 1988 - w języku angielskim). Zajmowałem się tam nie tylko sprawami ściśle technicznymi, lecz także powiązaniem ekonomicznymi pomiędzy energią elektryczną i ciepłem. Opracowałem metodę polegającą na tym, że łączne koszty wytwarzania ciepła i energii elektrycznej dzieli się według pewnego klucza pomiędzy energię elektryczną i ciepło. To właśnie, moim zdaniem - stanowi trwały dorobek. Oczywiście pisałem jeszcze o wielu innych sprawach, jednakże osiągnięcia w zakresie skojarzonego wy-

tworzenia energii i optymalizacji systemów ciepłowniczych były chyba największe.

Co spowodowało, że znalazł się Pan na Wybrzeżu?

Po uzyskaniu matury w 1948 roku w liceum ogólnokształcącym w Karpaczu zastanawiałem się, gdzie będę mógł studiować. Zostałem wtedy zaproszony do Gdańska przez znajomego mojej matki, późniejszego rektora Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych, architekta Adama Haupta. Przyjechałem więc na Wybrzeże, aby odpocząć i poznać, co to jest sport jachtowy i kajakowy oraz jak można korzystać z pobytu nad morzem. Tu dowiedziałem się, że Politechnika Gdańska organizuje kurs przygotowawczy do egzaminu wstępnego. W tamtych latach egzaminy wstępne odbywały się dopiero w pierwszej połowie września. Kurs przygotowawczy trwał kilka tygodni, a po jego ukończeniu postanowiłem złożyć dokumenty i zapisać się na Politechnikę Gdańską. **A dlaczego na Wydział Elektryczny?** Dlatego że mój o dwa lata starszy kolega, Radosław Ładziński, który był studentem na Wydziale Elektrycznym Politechniki Warszawskiej, w rozmowach ze mną przedstawił mi właśnie wszystkie zalety elektrotechniki jako kierunku studiów.

Czy to był jeden z głównych bodźców decydujących o tym, że wybrał Pan akurat ten Wydział?

Tak. Wiedziałem, że pójdę na Politechnikę, nie wiedziałem tylko na jaki wydział, ponieważ nie byłem zorientowany, jakie są różnice pomiędzy wydziałami. Ktoś mówił mi o budownictwie, co jakby po części wiązało się z wojskowością, a to kojarzyło mi się z działalnością mojego ojca. Na pewno jednak pod wpływem kolegi, o którym wspominałem, wybrałem ostatecznie Wydział Elektryczny.

Co okazało się chyba strzałem w dziesiątkę?

Chyba tak. Zostałem na Wybrzeżu dzięki panu Hauptowi, który mnie tu zaprosił na wakacje w 1948 r. Później, jako student III roku, musiałem wybrać kierunek specjalizacji i wybrałem energetykę.

I w ten sposób zajął się Pan problemami energetyki?

W tamtych latach Wydział Elektryczny obejmował dwa kierunki studiów, czyli, jak wówczas nazywano - elektrotechnikę silnoprądową i słaboprądową (późniejszą elektronikę, informatykę i telekomunikację). Na Wydziale Elektrycznym istniały cztery specjalności: dwie silnoprądowe i dwie słaboprądowe. Do specjalności silnoprądowych należała elektroenergetyka oraz tzw. konstrukcja obejmująca maszyny, aparaty i urządzenia elektryczne, a do słaboprądowych - radiotechnika i teletechnika. Pierwsze trzy semestry mieliśmy wspólne, a później następował podział. Radiotechnika i teletechnika jakoś mnie nie pociągały. Natomiast elektroenergetykę wybrałem chyba dlatego, iż dziekanem był wówczas profesor Kopecki, który prowadził zajęcia z sieci i urządzeń elektrycznych oraz gospodarki energetycznej. Te zajęcia bardzo mi się podobały i w stosownym czasie, kiedy trzeba było wybrać specjalność, wybrałem energetykę. Pod koniec III roku studiów profesor Kopecki zaprosił mnie i kolegę (starostę roku) do siebie i zaproponował nam pracę w swojej Katedrze. Zgodziłem się chętnie, zwłaszcza że nie miałem wówczas z czego żyć. Nie miałem stypendium, które zostało mi zabrane przez ówczesne władze, i przez jakiś czas pracowałem jako nieetatowy młodszy asystent w Katedrze Fizyki u profesora Piekary. Ta praca jednak nie bardzo mi odpowiadała i po prostu stamtąd odszedłem. Praca u profesora Kopeckiego była więc moją pierwszą prawdziwą pracą zawodową na pół etatu. W dwa lata później napisałem pracę magi-

sterską, której temat narodził się z moich projektów dotyczących tzw. kombinatów energetycznych. Przeszedłem wówczas na pełny etat i profesor Kopecki zaproponował, abym popracowałem w jakiejś elektrowni, żeby nie tylko siedzieć przy desce kreślarskiej, ale aby trochę z praktyką się zaznajomić. Przez swoje znajomości załatwił mi staż w elektrowni Czechnica koło Wrocławia, która się wtedy rozbudowywała. Pełniłem tam funkcję asystenta kierownika budowy do spraw współpracy z firmami energetycznymi, aby pomagać w sprawach związanych z elektrotechniką.

W późniejszym czasie był Pan prekursorem elektrociepłowni Gdańsk II?

W tamtych latach uciepłowieniem Gdańska zajmował się profesor Kopecki. Pierwszy plan rozwoju ciepłownictwa powstał w 1955 roku. Wraz z Profesorem i kilkoma innymi pracownikami opracowaliśmy wówczas koncepcję lokalizacyjną nowej elektrociepłowni. Profesor wybrał to miejsce, w którym w latach sześćdziesiątych powstała elektrociepłownia. Początkowo zajmowałem się projektami elektrociepłowni przemysłowych, między innymi dla przemysłu chemicznego, zwłaszcza dla zakładów włókien sztucznych. Mając już pewne doświadczenie, mogłem opracować założenia do projektu elektrociepłowni Gdańsk II. Inne rodzaje elektrowni, którymi się zajmowałem, to elektrownie jądrowe i elektrownie szczytowo-pompowe. W roku 1972 rozpoczęła się w Żarnowcu budowa elektrowni szczytowo-pompowej, a w 1982 roku elektrownia ta została uruchomiona. W opracowaniu koncepcji tej elektrowni miał swój udział profesor Kopecki, a później profesor Biernacki. Według ich propozycji w Żarnowcu miały powstać dwie elektrownie: elektrownia wodna szczytowo-pompowa oraz elektrownia jądrowa, pracująca w podstawie dobowego wykresu obciążenia systemu elektroenergetycznego. Jako pierwsza została wybudowana i uruchomiona elektrownia wodna, natomiast budowę elektrowni jądrowej rozpoczęto na początku lat osiemdziesiątych i prowadzono ją z różnymi przerwami aż do roku 1990. Wtedy rząd podjął decyzję o zatrzymaniu tej budowy.

Problem ten budził wiele kontrowersji. Czy z punktu widzenia inżyniera elektryka było to słuszne posunięcie, czy też nie?

Wówczas w Instytucie Elektroenergetyki i Automatyki PG, którego dyrektorem byłem przez 10 lat (1974-1984), i później jako kierownik zakładu w tym Instytucie oraz przewodniczący Komitetu Problemów Energetyki PAN zaangażowałem się w obronę elektrowni jądrowej w Żarnowcu.

Uważaliśmy bowiem, iż mimo że w tej elektrowni były planowane reaktory takie same jak te, które pracowały w byłym ZSRR czy byłej Czechosłowacji, to jednak projekt tej elektrowni można było jeszcze usprawnić i udoskonalić na wzór elektrowni, która pracowała w Finlandii w miejscowości Loviisa. Tam również wybudowano reaktory typu PWR, a więc reaktory konstrukcji rosyjskiej, dostarczone przez były ZSRR, jednakże reaktory te były powiązane z urządzeniami zabezpieczającymi i z całą automatyką sprowadzoną z Zachodu. Elektrownia Loviisa pracuje do dziś i ma dobre wskaźniki ekonomiczne i bezpieczeństwa. Chcieliśmy więc, aby elektrownia w Żarnowcu była wzorowana na wspomnianej elektrowni fińskiej z reaktorami PWR. Niestety, opozycja przeciwko budowie elektrowni Żarnowiec była bardzo silna. Cała sprawa przybrała charakter polityczny i rząd podjął decyzję, aby tej elektrowni nie budować. Sprawa rozwoju energetyki jądrowej w Polsce jest jednak



ciągle aktualna. Jak wiemy, ponad 90% energii elektrycznej w Polsce wytwarza się w elektrowniach węglowych. Postęp na świecie idzie w tym kierunku, iż powstają nowe konstrukcje reaktorów coraz bardziej doskonałych i bezpiecznych. Moim zdaniem około roku 2010, czy może trochę później, zaistnieje w Polsce potrzeba wybudowania elektrowni jądrowej, a może nawet kilku takich elektrowni. Przyszłość pokaże więc, czy mieliśmy rację, czy też nie. W każdym razie w Żarnowcu budowa elektrowni jądrowej została przerwana i pozostała tam tylko elektrownia wodna szczytowo-pompowa, która musi teraz pobierać energię do pompowania wody z innych elektrowni położonych w znacznej odległości.

Jest Pan obciążony wieloma obowiązkami. Jak więc Pan znajdował na to wszystko czas?

Rzeczywiście, na życie prywatne i rodzinne nie było zbyt wiele czasu, ale dało się to wszystko pogodzić. Mam dwoje dzieci. Syn jest pracownikiem naukowym na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w Toruniu, gdzie jako astronom uzyskał stopień doktora nauk fizycznych. Natomiast córka ukończyła studia na Uniwersytecie Gdańskim w zakresie filologii angielskiej. Wyjechała za granicę i mieszka obecnie w Anglii. Mam również troje wnuków. W okresie, kiedy dzieci chodziły do szkół, zawsze znajdowałem czas na to, aby poczytać czy pobawić się z nimi, np. przy kolejce elektrycznej. Pamiętam, że z każdego wyjazdu za granicę miałem obowiązek przywieźć jakiś jeden wagonik czy lokomotywkę elektryczną, zgodnie z zamówieniem dzieci.

Czy zajmuje się Pan polityką?

Nigdy nie należałem do żadnej organizacji politycznej ani jako student, ani jako pracownik uczelni. Natomiast oczywiście miałem kłopoty polityczne. Wynikały one z dwóch powodów: po pierwsze ze względu na moje pochodzenie, a po drugie ze względu na moją postawę, gdyż jako student byłem związany z duszpasterstwem akademickim. W związku z tym zabrano mi stypendium i zagrożono usunięciem z uczelni za przynależność do "Caritas Academica". Działalność tej organizacji została zawieszona, a jej prezes spędził ponad pół roku w więzieniu. Natomiast z tytułu pochodzenia nieraz byłem "na fali", a nieraz było różnie, w zależności od osób sprawujących władzę, i od tego, jak te osoby patrzyły na działania Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie. Mój ojciec był związany z generałem Sikorskim i razem z nim zginął w katastrofie lotniczej w Gibraltarze w 1943 r. Jeśli osoba gen. Sikorskiego była w danym momencie dobrze widziana, to ja otrzymywałem poparcie, a moja matka otrzymywała nawet jakiś dodatek finansowy do emerytury, natomiast jeśli gen. Sikorski uważany był za wroga, to mnie groziło usunięcie z uczelni, albo nawet wysiedlenie z tego rejonu Polski, co zresztą było stosowane. Później miałem trudności z tzw. postawą społeczną, jak to się wtedy nazywało. Mianowicie w tamtym okresie (1948-1954) studia były dwustopniowe: najpierw trzyletnie studia inżynierskie, a później dwuletnie magisterskie. Ja miałem dość dobrą średnią - 4,88, co chyba na naszym Wydziale jest rzadkością. Od strony naukowej spełniłem więc warunki niezbędne do tego, aby móc dalej studiować na kursie magisterskim, ale ówczesna komórka partyjna uznała mnie za "jednostkę aspołeczną". Dowiedziałem się więc, że nie mogę dalej studiować i dostałem nakaz pracy do elektrowni Ołowianka. Mam go do dziś w swoim archiwum. Profesor Kopecki, który miał wtedy dużo do powiedzenia na Uczelni, oraz ówczesny rektor, prof. Szewalski, stanęli jednak w mojej obronie. Niezależnie od obu profesorów, po mojej stronie stanęli także koledzy studenci, będący jednocześnie oficerami Marynarki Wojennej. W tamtych latach oprócz studentów cy-

wilnych na Wydziale była jeszcze grupa kolegów z tzw. fakultetu wojskowego. Byli to studenci mieszkający na terenie koszar we Wrzeszczu przy ul. Słowackiego. Studiowali tak jak my wszyscy, ale po zajęciach wracali z powrotem do koszar. Trzej moi koledzy z fakultetu wojskowego poszli wtedy w mundurach do ówczesnego sekretarza komitetu uczelnianego PZPR i powiedzieli mu mnie więcej tak: "Podobno macie coś przeciwko naszemu koledze Mareckiemu, więc przyszedliśmy wam to wytłumaczyć". Sekretarz po prostu się przestraszył i w ten sposób jakoś mnie ominęło usunięcie z uczelni, a dzięki pomocy profesora Kopeckiego i rektora profesora Szewalskiego, zostałem w Gdańsku i mogłem dalej studiować.

Został Pan uhonorowany wieloma odznaczeniami i wyróżnieniami. Które z nich są dla Pana najcenniejsze?

Jestem członkiem brytyjskiej IEE (Institution of Electrical Engineers) w stopniu Fellow, a także honorowym członkiem SEP, co jest dla mnie dużym zaszczytem. Jeśli chodzi o odznaczenia państwowe, to otrzymałem niedawno Krzyż Oficerski Orderu Odrodzenia Polski, co było dla mnie bardzo zaszczytnym wyróżnieniem.

Dziękujemy za rozmowę.

Rozmowę przeprowadzili:

*Andrzej Wawrzyński, Stanisław Witkowski
Studenci Wydziału Elektrotechniki i Automatyki*

POLEMKI, POLEMKI

"Trybuna" z 8 marca 1999 r. zamieściła tekst Zbigniewa Wróbla pt. "Akademicki zaścianek". Publikujemy go poniżej wraz z listem JM Rektora Politechniki Gdańskiej, przekazany Januszowi Rolickiemu, naczelnemu redaktorowi "Trybuny". Cytujemy również odpowiedź Z. Wróbla z "Trybuny" nr 79 z dnia 3-5 kwietnia 1999 r.

PONIEDZIAŁEK, 8 MARCA 1999

KRAJ

NR 56 TRYBUNA 15

„Dolek” kadrowy w uczelniach Trójmiasta - ZBIGNIEW WRÓBL

Akademicki zaścianek

Gdańskie środowisko akademickie jest zaniepokojone. Z wiodącego nógdy w kraju spada na coraz niższe pozycje w rankingach. Jak wynika z ekspertyz Instytutu Badań nad Gospodarką Rynkową, uczelnie Trójmiasta, zarówno ze względu na ilość zatrudnionej kadry ze stopniami naukowymi, otwartych przewodów doktorskich i habilitacyjnych jak i ilością studentów, zajmuje 7-8 pozycję wśród ośrodków akademickich w kraju.

Za Kiełcami, Zieloną Górą, Opolem i nieporównywalnie daleko za Poznaniem czy Krakowem. Miejscowe uczelnie mają też jeden z najniższych w kraju odsetek nauczycieli akademickich z tytułem profesora. Co gorsza, większość z nich przekroczyła 65 lat i blisko im do przejścia na emeryturę. „Regeneracja” kadry profesorskiej trwa niezmiernie wolno. Na przykład w Politechnice Gdańskiej co roku tytuły profesorskie uzyskują średnio 2-3 osoby z zatrudnionych na etatach naukowych, a dla zachowania płynności kadry powinno być przynajmniej 5 nominacji.

Tworzy się więc niebezpieczna „luka pokoleniowa” i jeśli proces starzenia się kadry nie zostanie zahamowany to za 10-15 lat, renowowane do tej pory uczelnie Trójmiasta - z braku kadry naukowych - będą zmuszone do ograniczenia ilości kształconych studentów, gdyż niekierunek stracą uprawnień do nadawania tytułów i nauczania magisterskiego.

Inny powód niepokoju to degradacja marki środowiska w badaniach naukowych. W nadmorskich uczelniach, z braku środków finansowych, do minimum ograniczone zostały strona podstawowe. Na palcach jednej ręki można policzyć ilość wynalazków, zaprojektowanych w pracowniach uczelnianych nowych technologii, małej ilości publikacji; w tempie równym jak zakupy nowych pozycji do bibliotek uczelnianych i naukowych. Na szczęście dla nauki jest Internet a więc i kontakt ze światem...

Najważniejszym powodem niechęci do podejmowania a potem uprzemianienia pracy naukowej w Trójmieście są bardzo niskie zarobki. W gdańskich uczelniach asyentowi oferuje się ok. 700 zł. Gdy zdecyduje się na studium doktoranckie, to jego dochody na pierwszym roku „degradowane są (np. w Uniwersytecie Gdańskim) do... 0”, bo uczelnie nie stać nawet na wypłacenie 450 zł stypendium.

Adiunkci z tytułem doktorskim pobierają pensję ok. 1100-1200 zł. Profesor kontraktowy ok. 1600 zł, a prof. zwyczajny 2250 zł. Skutkiem tego, najlepsi absolwenci i doktoranci jak ognia unikają naukowej kariery. Wpadają w sidła kadrowców z przemysłu i usług. Jakże im mają wpaść, jeśli na starcie zawodowej kariery oferuje się im pensje 3-4 krotnie wyższe niż asyentura.

Jeśli już ktoś decyduje się jednak na pracę w uczelni Trójmiasta to liczy na jej... kontakty międzynarodowe. Uczelniany etat jest tylko pretekstem do pozyskania zagranicznego stypendium naukowego - doktoranckiego, potem tzw. postdokta czyli po obronie pracy potem do stałego zatrudnienia się zagranicą.

Kilka lat temu Politechnika Gdańska szczyliła się na swoje 40-lecie (powojenne), że co piąty polski inżynier legitymuje się jej dyplomem. Dziś inżynierowie wolałoby zdobywać dyplomy w innych stronach kraju niż w gdańskim, coraz bardziej zaścianku naukowym.

Pan
 Janusz ROLICKI
 Naczelny Redaktor "Trybuny"
 ul. Miedziana 11
 00-835 Warszawa

Szanowny Panie Redaktorze,

czytając artykuł pt. "Akademicki zaścianek", który ukazał się w "Trybunie" 8 marca br., autorstwa Zbigniewa Wróbla, przecierałem oczy ze zdumienia. Jak można, w tak krótkim tekście umieścić tyle nieprawdy. Czyż nie prościej zwrócić się z prośbą do uczelni o aktualne dane, jeżeli dobro Politechniki Gdańskiej tak bardzo leży na sercu "Trybunie"? Pragnę pana uspokoić, że nie jest tak źle, jak to wynika z artykułu pana redaktora Z. Wróbla. A oto garść przykładów.

Średnio w Politechnice Gdańskiej przybywa nie 2-3 pracowników z nowymi tytułami profesorskimi rocznie, jak podaje Autor, ale w latach 1992 - 1998 było ich średnio 4,7, co jest bardzo bliskie magicznej liczby wyznaczonej przez pana redaktora Wróbla. Najbardziej pocieszający jest fakt, że przyrost pracowników o najwyższych kwalifikacjach ma tendencję wzrostową, bowiem w 1998 r. Uczelnia wzbogaciła się o 10 tytułów i wszystko wskazuje, że również w roku bieżącym liczba nowych tytułów profesorskich będzie na podobnym poziomie.

Zdumiewające jest stwierdzenie Autora, że "maleje ilość publikacji". Przytaczam diagramy z artykułu pt.: "Publikacje i cytaty" z "Forum Akademickiego" Nr 9 z września 1998 r., z których jasno wynika, że pod względem liczby publikacji przypadających na 1 pracownika Politechnika Gdańska zajmuje bardzo dobre miejsce pośród innych uczelni technicznych, a pod względem cytowań, co jest miarą jakości publikacji, jest na trzecim miejscu z niewielką stratą do lidera. To porównanie jest opracowane na podstawie danych Filadelfijskiego Instytutu Informacji Naukowej, a więc jest jak najbardziej obiektywne. Nie ma więc najmniejszych podstaw do obaw o naszą aktywność naukową, tym bardziej, że liczba publikacji z roku na rok rośnie, a nie maleje, co można sprawdzić na podstawie corocznych sprawozdań: np. w 1996 - 2 369, a w 1997 - 2 966. Badania podstawowe też nie zostały ograniczone, można śmiało powiedzieć, że rozwijają się prawidłowo. Nowo opracowane technologie są na podobnym poziomie od wielu lat, co można uznać za sukces, biorąc pod uwagę, że nakłady realne na naukę w latach dziewięćdziesiątych zostały zmniejszone trzykrotnie.

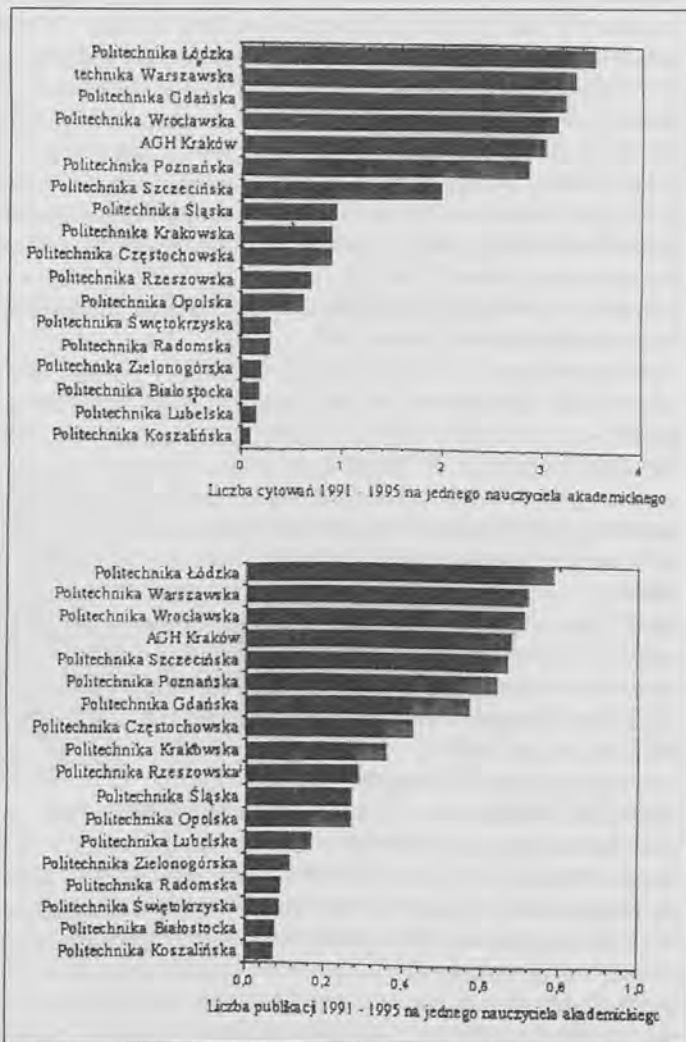
A co do stwierdzenia, że "Dziś inżynierowie wolą zdobywać dyplomy w innych stronach kraju niż w gdańskim...", to proszę porównać dwie wielkości: w 1990 r. na studia w naszej Uczelni dysponującej 1 600 miejscami zgłosiło się 1 600 kandydatów, a w 1998 na 3 200 miejsc liczba podań o przyjęcie na studia przekroczyła 8 000! Komentarz wydaje się zbyteczny.

Od dziennikarzy i mediów oczekujemy rzetelności. Artykuł, o którym mowa nie, jest rzetelny! Obawiam się, że to "Trybuna" stanie się niebawem zaściankową gazetą, jeżeli będzie miała takich redaktorów.

Domagam się stosownego sprostowania.

Z poważaniem

prof. Aleksander Kołodziejczyk
 Rektor Politechniki Gdańskiej



Echa naszych publikacji

W odpowiedzi rektorowi Politechniki Gdańskiej

Szanowny Panie Profesorze, przeczytałem informację na temat Politechniki Gdańskiej, które przesłał Pan do „TRYBUNY” i które zostały wykorzystane w tekście „Rektor PG o swojej uczelni” (nr 77 z dnia 1 kwietnia br.).

Nie zwykłem za wszelką cenę upierać się przy swoim, jeśli nie jestem przekonany do swoich racji. W tym przypadku jestem, bo kondycja finansowa gdańskiej nauki, jej kadry akademickiej jest taka, jak ją każdy widzi. Sygnalizując jej stan, głównie finansowy, nie koncentrowałem się zresztą w artykule jedynie na Politechnice Gdańskiej. Nie zaprzeczy Pan jednak, że jest ona w równej mierze finansowej, trzębiącej co zdolniejsze kadry, jak pozostałe uczelnie Trójmiasta.

Jeśli Pan udowodni, że w pańskiej uczelni asystenci, adiunkci, doktorzy habilitowani, profesorowie kontraktowi i mianowani zarabiają grubo powyżej średniej krajowej; jeśli zaprzeczy Pan faktowi, że zdesperowani doktoranci Uniwersytetu Gdańskiego, bo uczelni nie stać było na wypłatę należnych im stypendiów, gotowi byli strajkować; jeśli zaprzeczy Pan smutnej prawdzie, że absolwenci gdańskiej

Akademii Medycznej nie mogą zrobić 1 stopnia specjalizacji, bo zabrakło na to pieniędzy w kasie wojewódzkiej; jeśli stwierdzi Pan, że biblioteki naukowe wszystkich uczelni Trójmiasta mogą tak obfite budżety, że mogą zakupić dowolną publikację książkową lub z abonować dowolne czasopismo naukowe - to gotów jestem, na kolana, Pana i całe środowisko naukowe Trójmiasta przeproszać, że zasugerowałem możliwość wyłączenia miejscowej nauki na mieliźnie periferyjności.

Niestety, jak sam Pan przyznaje, realne nakłady na naukę w ostatnich latach zmniejszyły się 3-krotnie. Nikt nikomu nie jest w stanie udowodnić, że sprzyja to rozwojowi nauk. Jeśli zaś sprzyja - to dlatego aż w takiej skali w gdańskich uczelniach mnożą się płatne usługi akademickie, płatne studia wieczorowe i zaoczne, a w bibliotekach uczelnianych studenci muszą płacić za wypóżywanie naukowych publikacji. Taką to mizerię, Panie Profesorze, sygnalizowałem. Dla dobroku Politechniki Gdańskiej, jak i innych uczelni Trójmiasta, w tak trudnej sytuacji, jestem pełen jak najwięzszego uznania.

ZBIGNIEW WRÓBEL



Maria Jolanta SZPAKOWSKA, z domu Śliwińska, urodzona w 1946 roku, jest absolwentką Wydziału Chemicznego Politechniki Gdańskiej, specjalność *Technologia związków nieorganicznych*. Pracę dyplomową dotyczącą oddziaływań kompleksów donorowo-akceptorowych z rozpuszczalnikami organicznymi realizowała w Zakładzie Chemii Fizycznej Politechniki Gdańskiej. Po ukończeniu studiów (1969 r.) do 1995 r.

pracowała w Zakładzie Chemii Fizycznej, a następnie przez kilka miesięcy w Katedrze Technologii Chemicznej. Z dniem 1 października 1995 roku powierzono jej zorganizowanie od podstaw Pracowni Towaroznawstwa na Wydziale Zarządzania i Ekonomii PG. M. J. Szpakowska jest kierownikiem tej Pracowni. W latach 1970-1975 była uczestniczką Studium Doktoranckiego z zakresu chemii fizycznej roztworów, kierowanego przez prof. dr. hab. inż. Włodzimierza Libusia. Obrona pracy doktorskiej pt.: *"Stany koordynacyjne chlorków dwuwartościowych metali przejściowych w roztworach trójskładnikowych typu MCl_2 izochinolina rozcieńczalnik"*, realizowana pod kierunkiem doc. dr inż. Irminy Uruskiej, odbyła się w czerwcu 1975 roku. W latach 1975-1985, pracując w zespole kierowanym przez prof. dr. hab. inż. Irminę Uruską wykonywała dalsze prace badawcze związane z określaniem struktury kompleksów metali przejściowych, stosując między innymi technikę EPR we współpracy z dr. Stanisławem Hoffmannem z Instytutu Fizyki Molekularnej PAN w Poznaniu. W 1984 roku nawiązała współpracę naukową z dr. Otto B. Nagy z Katolickiego Uniwersytetu w Louvain w Belgii. Celem tej współpracy było zastosowanie opracowanej przez O. B. Nagy teorii preferencyjnej solwatacji do interpretacji oddziaływań kompleksów miedzi (II) ze środowiskiem.

W 1986 roku M. J. Szpakowska podjęła systematyczne badania dotyczące transportu jonów metali przez membrany ciekłe z różnymi przenośnikami. Prace te były wykonywane w ramach współpracy Polska-Belgia oraz finansowane kolejno przez Komitet Nauk Chemicznych PAN, Instytut Mechaniki Precyzyjnej w Warszawie, MEN oraz KBN; ww. była kierownikiem 10 umów badawczych. W latach 1986-1997 przebywała rokrocznie na stażu naukowym w Belgii. Wynikiem tej międzynarodowej współpracy jest około 50 publikacji i komunikatów na konferencjach krajowych i zagranicznych. Współpraca ta jest kontynuowana. Podsumowaniem dorobku tego okresu była przedstawiona Radzie Wydziału Chemicznego PG w grudniu 1997 rozprawa habilitacyjna pt.: *"Wydzielanie jonów miedzi(II) z roztworów wodnych za pomocą membran ciekłych z przenośnikami oksymowymi aldehydu nonylosalicylowego w wybranych rozpuszczalnikach organicznych"*.

Jest specjalistką w dziedzinie separacji membranowej, a w szczególności zagadnień teoretycznych i praktycznych metody ciekłych membran. Wykonuje również badania związane z towaroznawstwem, dotyczące oceny jakości wybranych produktów przemysłowych. Aktualnie prowadzi prace badawcze w dziedzinie oscylatorów z ciekłymi membranami; pod jej opieką realizowane są dwie prace doktorskie.

M. J. Szpakowska jest autorem lub współautorem około 100 publikacji. Są to artykuły oryginalne oraz referaty i komunikaty opublikowane w materiałach konferencyjnych. Ponadto ww. jest współautorką skryptów do ćwiczeń laboratoryjnych z chemii fizycznej. Wykładała na Uniwersytecie Narodowym w Yokohamie w Japonii oraz na Letniej Szkole "Surface and Interface" w Grecji. Jest recenzentem prac do czasopism zagranicznych i wniosków grantowych KBN.

Działalność dydaktyczna K. J. Szpakowskiej obejmuje wykłady i seminaria z towaroznawstwa ogólnego i branżowego, podstaw chemii do towaroznawstwa, technik membranowych i odnowy wody. Prowadzi również zajęcia w języku angielskim z zakresu jakości wody i technik membranowych.

Jest reprezentantem Wydziału Zarządzania i Ekonomii PG ds. programu Sokrates i programu Centrum Ochrony Środowiska. Była współorganizatorem Zjazdu Naukowego PTCh i SITPChem w 1980 roku. Jest aktywnym członkiem SITPChem (wieloletni skarbnik Zarządu Oddziału w Gdańsku, członek komisji rewizyjnej Zarządu Głównego w latach 1989-1993, członek Zarządu Koła Zakładowego przy PG). Posiadane przez nią odznaczenia, to: Honorowa Odznaka SITPChem, srebrna Odznaka Honorowa NOT i złota Odznaka Honorowa NOT. Otrzymywała wielokrotnie nagrody rektorskie za działalność umowną, osiągnięcia naukowo-badawcze i osiągnięcia w pracy dydaktyczno-wychowawczej.

Jej zainteresowania: astronomia, kosmologia i ciekawe okazy minerałów.

Habilitacja Marii Jolanty Szpakowskiej w dziedzinie nauk chemicznych została zatwierdzona przez Centralną Komisję ds. Tytułu i Stopni Naukowych 31 marca 1998 roku.



Kazimierz BURZYŃSKI urodził się 8 września 1948 r. w Lęborku. Studia wyższe na Wydziale Hydrotechniki Politechniki Gdańskiej ukończył w 1972 r. Po ukończeniu studiów przez pięć lat pracował w przedsiębiorstwach instalacji sanitarnych, uzyskując uprawnienia budowlane w zakresie wykonawstwa instalacji wodociągowych, gazowych, kanalizacyjnych i wentylacji. Jest specjalistą w zakresie hydrauliki wód podziemnych.

W 1977 r. rozpoczął pracę w Zakładzie Hydrauliki i Hydrologii Instytutu Hydrotechniki Politechniki Gdańskiej, prowadząc na studium doktoranckim zajęcia dydaktyczne z hydrauliki, hydrologii, zastosowania metod numerycznych w badaniu przepływów wody oraz dynamiki przepływów w ośrodkach porowatych i teorii migracji.

Stopień naukowy doktora za pracę pt. "Modelowanie wybranych zagadnień filtracji ze swobodną powierzchnią" uzyskał w 1987 r. W ramach działalności naukowo-badawczej wykonał szereg prac związanych z badaniami przepływu wody w ośrodku gruntowym oraz migracji zanieczyszczeń zarówno w wodach podziemnych, jak i powierzchniowych. W 1998 r. uzyskał stopień naukowy doktora habilitowanego nauk technicznych za pracę pt. "Modelowanie równowagi wód słonych i słodkich

w obszarach mierzei polskiego wybrzeża". Jest autorem 25 publikacji naukowych oraz 2 skryptów uczelnianych.

Główny zakres działalności naukowo-badawczej dr. K. Burzyńskiego związany jest z wykorzystaniem metod numerycznych w modelowaniu zagadnień przepływu wody w ośrodkach porowatych dla dużych obszarów przepływu, a także ewolucją pola zanieczyszczeń. Jest autorem bądź współautorem wielu programów komputerowych, z powodzeniem zastosowanych

zarówno w badaniach własnych, jak też w praktycznej ocenie pracy ujęć wód podziemnych, a także analizie zagrożeń wynikających z doprowadzania zanieczyszczeń do płynących wód.

Od 1973 r. jest żonaty (żona - nauczyciel) i ma jedną córkę (ukończyła w 1998 r. Uniwersytet Gdański).

Habilitacja Kazimierza Burzyńskiego w dziedzinie nauk technicznych została zatwierdzona przez Centralną Komisję ds. Tytułu i Stopni Naukowych 31 marca 1998 roku.

O PROWADZENIU WYKŁADU MNIEJ POWAŻNIE

Na wstępie należy przypomnieć istotę tej podstawowej formy kształcenia. Wykład - to ulotne chwile wspólnych przemyśleń. Ulotność sztuki scenicznej i wykładu jest oczywista. Gorzej natomiast z tymi wspólnymi przemyśleniami. A jednak! Ale najpierw garść pozornie błahych dywagacji.

Ogólnie znane są dwie skrajności. Jednak znakomity naukowiec, badacz, myśliciel podczas wykładu zamęcza siebie, zanudza audytorium i z tej racji sala świeci pustkami. Bardziej zauważalna - przez studentów - jest druga skrajność. Niewyróżniający się uczony (bez widoków na Nobla) jest wyśmienitym popularyzatorem wiedzy. Złotousty erudyta fascynuje słuchaczy zgłębianiem arkanów swej dyscypliny, a studenci podczas wykładu bezwiednie dojrzejają do czekającego ich egzaminu. Niejeden z nich z tej racji zamierza związać swą przyszłość zawodową z tym właśnie kierunkiem wiedzy i umiejętności inżynierskich. W tej atrakcyjności szczególnego wykładowcy ukryta jest jednak pewna tajemnica powodzenia profesjonalisty; chodzi o stale kontrolowaną umiejętność ciągłego dopasowywania poziomu, tempa i sposobów oddziaływania - do możliwości odbioru słuchaczy. Mistrzowskie wyczuwanie sali, to klucz do wspólnych przemyśleń. O metodzie świadomego "przekomarzenia się" z omawianym problemem była już mowa w poprzedniej wypowiedzi.

Wytrawny wykładowca, wchodząc do sali, zdaje sobie sprawę, że słuchacze tego dnia uczestniczyli już w innych męczących zajęciach. Higiena pracy umysłowej wymaga, prostego na pozór, zabiegu. Zamiast stereotypowego zagajenia "na poprzednim wykładzie..." uwagę słuchaczy dobrze jest skupić na temacie oderwanym od monotonii dnia pracy umysłowej. Dla bystrego obserwatora urozmaiconej rzeczywistości jest wiele tematów zaskakujących, np. na jesieni "technologia" odlotów ptaków lub przyczyna pęknięcia dojrzałych śliwek na drzewie, wreszcie ogrom bieżących aktualności ze świata nauki, techniki, medycyny...; coś zaskakującego - i już audytorium skupiło uwagę na wykładowcy, który umiejętnie wykorzystując sprzyjający stan umysłów, serwuje opis fizyki zjawiska związanego z tematyką wykładu, by następnie rozwijać rozważania na tematy coraz to bardziej odbiegające od podanego przykładu. Wspólne przemyślenia, to nie fikcja. Z jednej strony zmęczone i oporne umysły słuchaczy, a z drugiej - animator fascynacji tematem wykładu. Bez fascynacji omawiana gałęź wiedzy nie ma twórczego rozwoju umysłowości studiujących. Z ręką na sercu przyjrzyjmy się, we własnym sumieniu, czy umiemy zręcznie aranżować wspólne przemyślenia i utrzymywać bezpośredni kontakt z audytorium, by skutecznie fascynować słu-

chaczy swoim zawodowym hobby? Jeżeli nie, to nie narzekajmy na mierne efekty przy egzaminowaniu. Poprawne prowadzenie wykładu to ciężka praca wykładowcy, która ma uskrzydlać pozorny ugór zmęczonych umysłów.

Kiedyś Czesław Miłosz - mający zaledwie tytuł magistra - w chwili szczerości zwierzył się ze swych wątpliwości jako wykładowcy: ilekroć zmierzam do sali z zamiarem wygłoszenia wykładu zastanawiam się, czy i tym razem uda mi się "wyciągnąć królika z cylindra!". Cóż to za sztuczki prestidigitatora? Tłumacząc na język realiów edukacji amerykańskiej, oznacza to: czy znów uda mi się zafascynować, a chociażby zaintrygować słuchaczy tak, jak udawało mi się przez minione lata? W amerykańskim systemie edukacyjnym trzeba być stale "na fali", nadal być atrakcyjnym, wciąż być dobrze postrzeganym

przez społeczność akademicką. Miłosz, ceniony profesor na liczącym się uniwersytecie, po otrzymaniu Nobla dostał... przydział na miejsce dla swego samochodu na parkingu uczelni przeznaczonym dla noblistów. Uniwersytet w Berkeley ma tytuł noblistów, że wydzielono dla nich specjalny parking. Nobel to wyróżnienie za to, co minęło, nie gwarantuje jednak przedłużenia angażu. Profesor-wykładowca musi zdobywać się wciąż od nowa na maksymalny wysiłek, bo inaczej władze uczelni podziękują za dotychczasowy wkład i trud...

Czynnik konkurencyjności na naszych uczelniach nie jest znany, "wprawdzie źle wyklada, ale...". A czy musi wykladać, jeżeli nie umie? Chodzi przecież o żywą tkankę dojrzejącego pokolenia, której należy zapewnić warunki rozwoju. Może badać bez wykładania! Może, ale względy administracyjne tego nie przewidują. To w Polsce po prostu jest niemożliwe. A szkoda, bo tracą studenci i badania.

Zmarły niedawno Josif Brodski był w USA cenionym na uniwersytecie profesorem-wykładowcą; rozwijał się, uczył, inspirował, zabłysnął, dostał Nobla i z tej racji w Polsce otrzymał doktorat "honoris causa", a przecież ukończył tylko szkołę podstawową. Czy w Polsce taka kariera byłaby możliwa? Nie mam złudzeń. Świat zachodni ma własne doświadczenia, na których chyba dobrze wychodzi.

A oto fragment z publikacji dra A. Drygasa zamieszczonej w "Gazecie AMG":

"...jeden z wykładowców zapewniał sobie niemal stuprocentową frekwencję. Wykładowca ten wykłady lubił ilustrować przezroczami. Co jakiś tam kadr (oczywiście kolorowy) ukazywała się ciziula - jak ją Bozia stworzyła (paluszki lizać!), a profesor-wykladowca, z udawanym zażenowaniem, kordial-



Rys. T. Sitek

nie przeproszał "za pomyłkę" i natychmiast przestawiał na kolejny kadr - już ściśle naukowy.

A studenci na wykład walili "drzwiamy i oknamy", podejmując zakłady: "pokaże dziś, czy nie pokaże" (rzecz jasna ciziułę).

Śmiech śmiechem, zakłady zakładami, ale z wykładu - nawet jeśli słuchało się przysłowiowym "jednym uchem" - coś tam chyba w głowach zostawało. I o to przecież chodzi! Jak więc widać - każdy "sposób" jest dobry, jeśli tylko przynosi owoce".

Profesorowie przedwojennych politechnik polskich byli tylko inżynierami, którzy po latach twórczych osiągnięć w pracy inżynierskiej przechodzili na uczelnię, by dzielić się wiedzą i umiejętnościami z adeptami sztuki inżynierskiej. Znamy ich poprzez ich uczniów.

Jak więc odpowiedzieć na postawione przez Ewę Hope fundamentalne pytanie: "Quo vadis Politechniko?"

Ażeby w Polsce coś zmienić w tym zakresie należałoby skostniałe formacje poddać takim wstrząsom tektonicznym, których nie wytrzymałyby biurokratyczne sejsmografy. Na razie jednak wszyscy liczymy na udane wakacje po jakże uciążliwej zimie, a na jesieni - na rewelacje wynikające ze zmiany władz Uczelni. Poruszone problemy odkładamy więc "ad calendas Graecas".

Przecież myśmy to już przerabiali: "nihil novi sub sole!"

Wacław Dziewulski
Wydział Mechaniczny

ETYKA i estetyka

Wszelkie działania natury estetycznej, zmierzające do zmiany wyglądu człowieka, takie jak operacje plastyczne, tatuaże, czy nawet zwykły makijaż, nie doczekały się oficjalnego stanowiska Kościoła. Etycy chrześcijańscy właściwie nie zajmowali się do tej pory tym problemem. Jednakże ocenić to zjawisko możemy, stosując tylko pewne ogólne zasady etyczne.

Pierwsza z nich dotyczy zaspokajania swojej próżności. Stworzyliśmy sobie w naszej kulturze wizję piękna. Oczywiście każdemu z nas do tej wizji sporo brakuje. Jednak dążymy do osiągnięcia tego ideału różnymi drogami. Dlatego używamy różnych trików, aby osłonić swoje niedoskonałości lub je ukryć, albo używamy ozdób dla podkreślenia piękna. Nie zawsze wynika to z próżności, ale często tak jest. Schlebienie swojej próżności może łączyć się z poważną winą tylko wtedy, gdy poważnie narusza swoje związki interpersonalne, kiedy odgradza nas od społeczności, skupia tylko na sobie, pogrąża w samozachwycie nad sobą. Zawsze wtedy, gdy jest umyślnym wprowadzeniem kogoś w błąd dla osiągnięcia jakichś korzyści.

Drugim punktem odniesienia jest sytuacja społeczna. Nie można dokonywać drogiej operacji plastycznej, ani też kupować sobie drogich i kosztownych kosmetyków czy ubrań w sytuacji, gdy dookoła ludzie umierają z głodu. Etyka chrześcijańska jest ukierunkowana na człowieka jako osobę. Ma na celu rozwój samej osoby, jak i rozwój relacji tej osoby z innymi. Wszelkie działania, które osłabiają te relacje albo je niszczą - należy więc uznać za złe.

Trzecim elementem ważnym przy moralnej ocenie "estetycznych" poprawek ciała jest intencja. Jeżeli operacja plastyczna zmierza do budowania samego siebie, do uzdrowienia swoich relacji z otoczeniem, wyzbycia się swoich kompleksów, nie można jej oceniać negatywnie. Człowiek dąży bowiem do szczęścia. Niedopuszczalne jest natomiast poprawianie swojej urody dla osiągnięcia korzyści materialnych, zdobycia partnera itp. Intencja odgrywa tu dużą rolę. Ważne jest, aby właściwie ocenić, czy to działanie rozwija mnie i moje relacje z innymi, czy je burzy. Etyka chrześcijańska nie jest przeciwna dbaniu o siebie, ale estetyka powinna służyć relacjom między ludźmi. Czyli: nie człowiek dla stroju, ale strój dla człowieka.

Nie można również traktować swojego ciała jak przedmiotu, jako środka do zdobycia czegoś. W związku z tym nagannie należy również ocenić te osoby, które wywierają presję na innych, aby dokonały operacji plastycznych.

Patrząc z punktu widzenia intencji i relacji międzyludzkich, można niekiedy usprawiedliwić i tatuaże. Jeżeli ktoś przebywa

w środowisku, gdzie tatuaż jest czymś normalnym, co więcej, jeśli jego brak burzy relacje z innymi i sam człowiek w takiej sytuacji źle się czuje, a jest przekonany, że ten tatuaż jest mu niezbędny do poprawnego funkcjonowania w takiej społeczności, wtedy nie można negatywnie ocenić robienia tatuażu z punktu widzenia etyki katolickiej.

Ważne jest przy tym, aby uszczerbek na zdrowiu był jak najmniejszy. Właśnie medyczny aspekt tego problemu jest niezwykle istotny. Patrząc z tej strony, wszelkie działania dążące do upiększenia ciała, które przynoszą ze sobą uszczerbek na zdrowiu, są negatywne. Stopień tej negatywności zależy od wielkości uszczerbku. Patrząc tylko z tego punktu widzenia, tatuaże należałoby ocenić negatywnie.

Coraz częściej na ulicy można zobaczyć kogoś z tatuażem. Zawsze mnie takie spotkanie intryguje, prowokuje do pytań: kim są ci ludzie? Jakie były ich motywacje? I w końcu: jakie wrażenie to na mnie wywarło, pozytywne czy negatywne, podobalo mi się, czy nie? Przyznam się, że pierwsze moje odczucia były nie najlepsze, ze względu na tzw. kryminalne skojarzenia, iż są to ludzie pochodzący z marginesu społecznego, mogą być przestępcami czy recydywistami. Tego upalnego lata zauważyłam, że na ramionach tatuaże noszą bardzo "porządnie wyglądający" ludzie, bardzo młodzi i w średnim wieku, o inteligentnych twarzach i, sądząc po stroju, z tzw. "dobrego towarzystwa". A motywacje graficzne tych zdobień są estetyczne, dyskretne i niewulgarnie. To trochę zmieniło mój stosunek do tej "sztuki". Więcej jest mężczyzn, z tym że kobiet wciąż przybywa. Coraz częściej są to ludzie młodzi, po dwudziestce. Traktują swój tatuaż jako ozdobę. W ten sposób dekorują, upiększają swoje ciała. Przekrój społeczny jest też bardzo zróżnicowany: od biznesmenów, artystów, studentów - po sprzedawców. Zdarzają się też pewnie złodzieje czy ludzie z przeszłością kryminalną, albo przedstawiciele sekt. Poznaje się ich po wyglądzie, sposobie bycia, no i po wzorach, które zamawiają. Klienci wybierają najczęściej motywacje japońskie: smoki lub węże. Popularnością też cieszą się skorpiony. Dziewczyny wolą małe różyczki i rybki. Na mały tatuaż stać prawie każdego. Ceny rosną, gdy wzór się komplikuje, liczy się też wielkość, umiejscowienie i kolorystyka. Tatuaż artystyczny nie ma nic wspólnego z więziennym. Może być w pewnym sensie formą sztuki lub rodzajem makijażu. Posiadanie tatuażu jest odbierane różnie przez różnych ludzi, i tak np. mama kolegi, który zrobił sobie tatuaż, powiedziała, że jest głupi, ponieważ bezsensownie wydał pieniądze, natomiast koleżankę, u której ojciec zauważył

małenki tatuaż, kilka razy wyrzucił z domu i powiedział, że nie znajdzie sobie pracy. Ja na widok małego i niewulgarnego tatuażu odczuwam brak estetyki, ale duży budzi już we mnie obrzydzenie. Ja bym sobie go nie zrobiła. Byłoby to głupotą, są ważniejsze sprawy. Moda przemienie, a tatuaż zostanie. W dodatku bałabym się bólu przy jego robieniu, ale bardziej powikłań i możliwości zarażenia się AIDS.

Mówi się, że powszechne zainteresowanie tatuażem w społeczeństwach wysoko rozwiniętych krajów zachodnich i w Ameryce to nowe zjawisko kulturowe, że niegdyś tatuowali się tylko przestępcy, a dziś dyktatorzy mody, modelki, idole muzyki i gwiazdy filmu. Tatuatora zaczyna się uznawać za pewnego rodzaju artystę, doceniając jego działalność na skórze ludzkiej i jej wizualne wartości. Dziś zajmuje się tatuażem sztuka, medycyna, kryminologia. Utrwalone w polskim społeczeństwie stereotypy, że jest to patologia społeczna, nie zachęcają do korzystania z usług profesjonalnych gabinetów tatuażu. Jednak coraz więcej ludzi z nich korzysta, co chyba świadczy o stopniowym i u nas przełamywaniu barier, i innym myśleniu na ten temat. Współcześnie tatuaż traktowany jest coraz częściej jako nowatorskie zjawisko artystyczne.

Czytałam, że pewien chłopak chciał wytatuować sobie na piersi monogram Jezusa IHS. Dlaczego? Traktował go jako znamię, oddanie się w całości Bogu. Miało to być coś, co każdego dnia będzie przypominało mu o życiowym wyborze. Nawrócił się dwa lata temu i od tamtej pory ten tatuaż za nim "chodził". Dobrze, ale Boga należy mieć przede wszystkim w sercu, a nie szpecić ciało takimi rysunkami. On natomiast twierdził, że bardzo go potrzebuje. Potem zdecydował, że nie chce już monogramu na piersi, ale chrześcijańskiej ryby, która według niego była ładniejsza, mniejsza i bardziej symboliczna. Pomocny okazał się w tym "Słownik symboli chrześcijańskich". Na pytanie, czy nie lepiej byłoby zrobić koszulkę z takim nadrukiem? odpowiedział, że to rzeczy nieporównywalne. Inna moja, niedawno nawrócona, koleżanka wpadła na pomysł, aby wytatuować sobie na piersi gołębicę, symbol Ducha Świętego. Wielu muzyków, i nie tylko muzyków, tatuuje sobie na ciele postacie demonów, nacina odwrócone krzyże i obnosi się z wizerunkami rozebranych kobiet. Czy "chrześcijański" tatuaż miałby stanowić swego rodzaju przeciwwagę? Bóg dał człowiekowi ciało piękne i doskonałe. Czy potrzeba więc jeszcze aż tak je upiększać?

Problem operacji plastycznych, tatuaży jak, i innych zabiegów dążących do upiększania ciała jest bardzo skomplikowany i mało zbadany. Trudno tu o jednoznaczną ocenę moralną, duże znaczenie mają tu intencje i okoliczności. One dopiero pozwalają na kwalifikację czynu. Nie należy zapominać jednak, że etyka chrześcijańska dąży do prostoty i naturalności. Tatuaż na pewno jest czymś nienaturalnym i sztucznym. W pewnym sensie można uznać go za deprecjonowanie godności ludzkiego ciała. Człowiek w swym życiu dąży do prawdy, dobra i piękna, tatuaż w jakimś stopniu tę drogę utrudnia.

Zresztą w samej naturze ludzkiej tkwi odpowiedź: czujemy się kochani i rozumiani, gdy w żaden sposób nie musimy się ukrywać. Piękno ludzkich kształtów, czy to kobiecych czy męskich, dojrzałych czy młodzieńczych, czy nawet dziecięcych: niewinnych i świeżych, inspirowało od wieków malarzy, rzeźbiarzy i poetów.

Jakże wspaniale zostaliśmy stworzeni. Na wzór i podobieństwo Boga. Cudownie przemyślni, mądrość ciała, działającego precyzyjnie jak mechanizm. Ciało i psyche - jedność doskonała. Mamy dbać o zdrowie i urodę naszych ciał, a nie je niszczyć. Nie unieść alkoholem, narkotykami i innymi używkami. Umiemy coraz lepiej leczyć nasze ciało, poznajemy coraz dokładniej genialność jego konstrukcji. Potrafimy je również upiększać. Każda epoka ma swoje kanony piękna i urody. To ściskamy się w talii, aby wyglądać jak osy, to zakładamy peruki i golimy brwi. Przeglądając historię ludzkości można zauważyć różność mód i upodobań. Kulturowe uwarunkowania każą do dziś tatuować się mieszkańcom Amazonii, nosić obręcze na szyjach ludom afrykańskim, obciążać uszy ciężkimi ozdobami, wypychać wargi itd.

Jednak rozwój wiedzy i cywilizacji w najbardziej pierwotnych obszarach świata niesie ze sobą pewne zawirowania, zakręty i bezdroża. Jesteśmy wszyscy na nie narażeni. Nasza cywilizacja techniczna w pogoni za nowym pięknem stworzyła

Kena i Barbie nierealnie pięknych, sztucznych, wręcz nienaturalnych. Stworzyła ich przeciwko biblijnym kształtom Adama i Ewy, naturalnym, wyrzeźbionym ręką Największego Mistrza. Poprawianie natury, poprawianie urody ciała jest w dzisiejszych czasach tak nagminne, jak nigdy dotąd. Wydaje się bezpieczne dzięki rozwojowi medycyny. Wiemy jak zwyciężyć naturę, jak nie mieć zmarszczek i brzucha. Temu pędowi do poprawiania nadajemy wiele istotnych motywacji, mniej lub bardziej prawdziwych, wręcz przekonujemy siebie o takiej konieczności.

Operacje plastyczne robią sobie niemal wszystkie znane aktorki i aktorzy, piosenkarki, idole muzyki młodzieżowej, walcząc o utrzymanie popularności. Zarabiają całym swoim wizerunkiem, tzw. imagem, wielkie

pieniądze. Przecież muszą dużo zarabiać, aby pokryć choćby częściowo koszty tych niezwykle drogich operacji. I tak toczy się błędne koło. Rekordziści tacy jak Michael Jackson, Cher, Madonna, choć niechętnie przyznają się do chirurgicznych ingerencji, są jednak opisywani przez prasę, reklamując skuteczność i cudowną moc skalpela.

W pogoni za wieczną młodością i urodą ruszyli i inni. Nie ci zwariowani milionerzy, ale tak zwani przeciętni ludzie. Choć operacje plastyczne są stosunkowo drogie, ale myślą, że warto. W konkurencyjnym, nieprzyjaznym świecie wizja bycia piękniejszym, doskonalszym od innych jest presją tak silną, że niewiele ma wspólnego z rozsądkiem. Wszystko przypomina jakiś absurdalny konkurs na piękność wszechczasów, która wciąż poprawiając urodę samounieść się. Bo często ktoś z tą kupioną urodą coś ukrywa, oszukując siebie i cały świat, że jest kimś lepszym, doskonalszym, silniejszym i bardziej przebojowym.

Ta masowa chęć poprawiania natury jest sygnałem określonych zmian i tendencji w zbiorowej psychice współczesnej ludzkości. Jest świadectwem, że ta psyche jest zdeterminowana i niepewna. Akceptujemy bez zastrzeżeń katusze upiększania, te bolesne i kosztowne wielogodzinne zabiegi. Zmieniamy wszystko: wargi, nosy, naciągamy zmarszczki, powiększamy i zmniejszamy biusty, odsysamy tłuszcz. Tak beztrudno, jak doklejamy sztuczne paznokcie lub chodzimy do fryzjera. Nasza cywilizacja miłości nie jest już relacją miłości do drugiego człowieka, ale wynaturzoną formą narcyzmu, wyzwaniem rzu-



conym Stwórcy. Czy dbałość i troska o ciało nie zostały karykaturalnie przetworzone, sprowadzone do absurdu? Czy nie zajmują zbyt dużo miejsca w naszym myśleniu? Operacje, dzięki stałemu postępowi technik medycznych, uznajemy za bezpieczne dla życia i niemal niezbędne dla bycia, zaistnienia, zrobienia kariery, czy choćby wrażenia na innych. Zmiany obyczajowe, zmiany relacji między mężczyzną i kobietą (emancypacja kobiet), spływanie relacji seksualnych, powszechne akceptowanie częstej zmiany partnerów, czyli odejście od nakazów wiary, to niektóre z niebezpiecznych symptomów naszych czasów. Stąd też wygórowany kult ciała i dominacja nad psyche.

Piękne, młode ciało jest zgodne nie tylko z modą i estetyką. To także szansa społecznego awansu, więcej możliwości życiowych, dostanie lepszej pracy, utrzymanie związku z mężczyzną, wyeliminowanie konkurencji. Oczywiście, ta czarna wizja jest tylko przestrożą, trochę wyolbrzymioną. Operacje plastyczne są przecież bardzo pomocne w ratowaniu zdrowia. Rekonstrukcja piersi czy części twarzy zniekształconej po wypadku daje szansę na normalne życie. Można operować blizny po oparzeniach, korygować wrodzone deformacje, np. tzw. zajęczą wargę. Niekiedy to prawdziwy ratunek przed odtrąceniem i izolacją. Jednak zbyt pochopnie wierzymy, iż zmieniając twarz, której nie lubimy, zmienimy swoje życie. Myślimy, że to wystarczy żeby polubić siebie i uważamy, że jedyna i skuteczna

droga biegnie właśnie przez gabinet chirurga. Czy taka psychoterapia nie przenosi nas naiwnie do świata marzeń, bajek, reklamówek? Czy nie nazbyt łatwo ulegamy presji środków masowego przekazu, lansujących nierealne piękno modelek reklamujących luksusowe towary? Wtedy przychodzi nam na myśl: jeśli będziemy wyglądać tak jak one, wszystko pozostałe będzie w zasięgu ręki. Ich uroda nie odzwierciedla rzeczywistości, ale pokazuje, jaka ona może być. Porównujemy się i nasz wizerunek odbity w lustrze, odbiegający od urody "zrobionych" top modelek, nie poprawia nam samooceny, więc go zmieniamy.

Zapominamy, że nasza wiara jest wiarą miłości. Bóg nas kocha i kocha nasze ciało, które stworzył. Zadbane i mądre przez nas traktowane, pięknie i godnie się starzeje. Dzięki Jego miłości pięknieje w naszych, ludzkich oczach. Silni duchem są zawsze naprawdę piękni. Dlaczego o tym zapominamy? Zapominamy o jego miłości, bo może czujemy się przez ludzi nie kochani, bo może sami nie umiemy kochać. Dlatego warto nam, wierzącym, zastanowić się nad naszymi wewnętrznymi motywacjami, zanim podejmiemy nieodwracalne decyzje dotyczące zmiany dzieła Boga, zanim zacniemy ingerować w nasze własne ciało.

Jowita Okupińska

Studentka Wydziału Zarządzania i Ekonomii

Słów kilka o przygotowaniu studentów do korzystania z chemicznej literatury specjalistycznej

Młody człowiek rozpoczynając studia napotyka wiele trudności. Jedną z nich jest właściwe korzystanie z piśmiennictwa fachowego, dostępnego w wydziałowych bibliotekach.

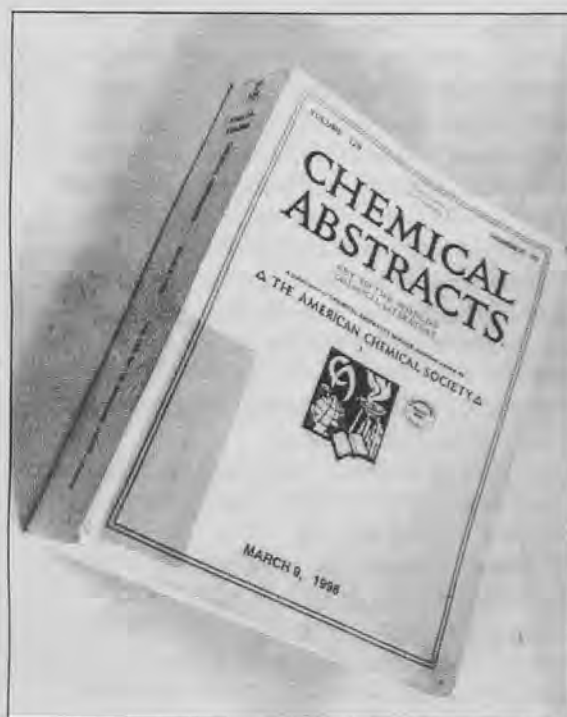
Prawidłowe, szybkie dotarcie do literatury (szczególnie specjalistycznej) znajdującej się w bibliotece stanowi często podstawę pomyślnego studiowania. Dla zaczynającego naukę biblioteka stanowi miejsce studiowania, gdzie przez kolejne lata nauki będzie poszukiwał dróg dotarcia do wiedzy.

Rozwój nauki i techniki, a co za tym idzie - wzrost piśmiennictwa na świecie może być odbierany jako chaos informacyjny. Poruszanie się w szerokim spektrum informacji zgromadzonych w bibliotece jest często stresujące dla młodego adepta nauk. Na studia przychodzą młodzi ludzie z różnych typów szkół, gdzie nie zawsze w programie nauczania znalazło się miejsce dla przedmiotu dotyczącego zagadnień informacji naukowej. Młody człowiek jest zagubiony, zastanawia się, gdzie i w jaki sposób szukać interesującego go materiału? W jakich książkach czy czasopismach?

Dla rozpoczynających studia na Politechnice Gdańskiej przeprowadza się przysposobienie biblioteczne. Dotyczy ono ogólnych zasad korzystania z biblioteki oraz zapoznania z komputerowym systemem udostępniania wydawnictw APIS-ZB (1 godz. wykładu + 1 godz. ćwiczeń). Jest to pierwszy stopień przygotowania studentów do korzystania z literatury naukowo-technicznej. U studentów wyższych lat pojawia się konieczność poszukiwań literaturowych dotyczących konkretnego zagadnienia podanego przez nauczyciela akademickiego. Powstają problemy z dotarciem do literatury fachowej. Jak więc zaradzić tym problemom? Jakie zadanie przypada tu bibliotece?

I w tym miejscu należy podkreślić rolę, jaką odgrywa Biblioteka na Wydziale Chemicznym naszej uczelni w rozwiązywaniu tych problemów. Wychodząc naprzeciw oczekiwaniom, rozwija umiejętności studentów w docieraniu do chemicznych źródeł informacji.

Od 1975 roku przeprowadza się kształcenie studentów III, IV i V roku Wydziału Chemicznego PG, UG, Wydziału Farma-



ceu

tycznego AMG - w grupach kilku lub kilkunastoosobowych a także indywidualnie (czas zajęć ok. 1,5 godz.).

Studenci przeszkoleni w zakresie korzystania z literatury chemicznej

Rok	Liczba studentów
1998	124
1997	70
1996	106
1995	101
1994	90

Zródło: dane własne

Problematyka procesu dydaktycznego biblioteki obejmuje zagadnienia związane z informacją naukową, ze szczególnym uwzględnieniem informacji chemicznej.

Dużo miejsca zajmuje zapoznanie studentów ze strukturą literatury chemicznej, ponieważ dobra znajomość specjalistycznej literatury umożliwia szybsze dotarcie do źródła informacji.

W przygotowaniu studentów bibliotekarze opierają się na różnych źródłach; bardzo interesujący jest skrypt Janiny Moszczyńskiej pt. "Informacja i dokumentacja naukowa w chemii" (Warszawa 1977 r.), w którym to autorka podaje strukturę literatury chemicznej, dzieląc wszystkie dokumenty piśmiennicze (przyjmując za kryterium podziału krotkość przetworzenia informacji) na źródła I, II, III i IV generacji.

Przedstawienie studentom szczegółowo każdego ze źródeł informacji naukowej (z jakiej dziedziny chemii i jakiego rodzaju informacje mogą w niej znaleźć) ukierunkowuje ich poszukiwania informacyjne, ułatwiając zarazem szybsze rozwiązanie interesującego ich problemu. Dużo uwagi poświęca się zapoznaniu studentów z problematyką wydawnictw specjalistycznych: *Chemical Abstracts*, *Beilsteins Handbuch der Organischen Chemie*, *Landolt-Bornstein*, *Gmelin Handbuch der Anorganischen Chemie*, *Chemisches Zentralblatt*, *Current Contents*. Ze szczególną wnikliwością analizuje się wydawnictwo referujące (czasopismo informacyjne) *Chemical Abstracts*. Zawiera ono streszczenia publikacji zawartych w źródłowej literaturze fachowej. Streszczenia te, zwane "abstraktami", odsyłają do oryginalnego źródła informacji, w którym można znaleźć pełen tekst publikacji. *Chemical Abstracts* - to klucz do światowej literatury chemicznej.

Studenci często mają wiele pytań - m.in. dotyczących przeszukania piśmiennictwa chemicznego na dany temat, czy znalezienia syntezy i własności określonego związku chemicznego - wtedy poprzez *Chemical Abstracts* (dzięki doskonałym indeksom) uzyskują wyczerpujące informacje.

Jakie nasuwają się wnioski z kształcenia studentów w korzystaniu ze źródeł informacji chemicznej?

Z własnych doświadczeń wiem, że tego typu działalność przynosi wiele korzyści. Pozwala na zapoznanie ze zbiorami specjalistycznymi, a efektem jest samodzielne wyszukiwanie informacji.

Uważam też, że w tym procesie dydaktycznym można by wprowadzić następujące zmiany:

- wprowadzić obligatoryjność zajęć dla wszystkich studentów studiujących chemię i nauki pokrewne (w praktyce tego się nie przestrzega);
- poświęcić więcej czasu na kształcenie (3 godz.);
- szkolenie zakończyć zaliczeniem;
- omawiać szerzej zagadnienia dotyczące informacji naukowej (m.in. wiedzy o systemach informacyjno-wyszukiwawczych);

- wprowadzić nowe metody kształcenia - jak np. omówienie wydawnictw referujących z wykorzystaniem komputera.

Wprawdzie już kilkanaście lat temu dr hab. Wanda Pindłowa (W. Pindłowa: *Kształcenie studentów jako użytkowników informacji naukowej. Z pogranicza informatologii i pedagogiki*. Kraków 1984.) sugerowała realizację kilku z powyższych postulatów, jednak do dziś niektóre z nich nie doczekały się realizacji i dlatego pozwoliłam sobie je powtórzyć.

Może przyszłość przyniesie zmiany?

Chciałabym podkreślić tu również ważną rolę bibliotekarza w kształceniu studentów. Znaczącymi czynnikami mającymi wpływ na poziom kształcenia studentów są takie cechy bibliotekarza, jak:

- fachowość;
- wykształcenie (w bibliotece chemicznej ideałem jest prowadzenie zajęć przez bibliotekarza-chemika);
- znajomość zbiorów;
- ciągłe dokształcanie się i pogłębianie zawodowej wiedzy;
- umiejętność przekazywania wiedzy;
- komunikatywność;
- chęć udzielania pomocy;
- serdeczność.

W przyszłości, gdy zmierzać będziemy ku bibliotece wirtualnej ("bibliotece bez ścian"), gdy użytkownik będzie korzystał z dokumentów piśmienniczych "przez komputer", rola bibliotekarza w kształceniu studentów nie zmniejszy się, będzie to bibliotekarz przyszłości, który przy nowych technologiach zastosowanych w bibliotece pomoże sformułować czytelnikowi prawidłowo pytanie w systemach wirtualnych.

W mentalności ludzkiej istnieje stereotyp bibliotekarza udostępniającego książki i czasopisma; tymczasem zawsze był on i będzie przekazicielem wiedzy czytelnikowi. Tak pisał przed laty o bibliotekarzu Tadeusz Kotarbiński (T. Kotarbiński: *Kolega bibliotekarz: Z doświadczeń Bibliotek Szkolnych i Pedagogicznych* 1970 s. 9-11.): "Piszę ze stanowiska członka warstwy nauczycielskiej i dlatego mowa tu o bibliotekarzu jako koledze (...). Łącznym wysiłkiem urabiają oni (bibliotekarze, nauczyciele) ludzi poddanych ich działaniu na ludzi mniej ciasnych, mniej przesądnych, mniej zacofanych, mniej umysłowo nieporadnych, na ludzi rozumniejszych, umiejętniejszych, umysłowo bardziej zaradnych, a więc w ogóle bardziej przydatnych do sprawowania jakichkolwiek funkcji wymagających sprawnego rozeznania."

Barbara Wierska
Biblioteka Główna



Obrazek z zawodowego (i nie tylko) życia absolwenta

W latach osiemdziesiątych bywał często w Gdańsku ksiądz profesor Józef Tischner, by wygłaszać nauki rekolekcyjne, a również rozważania na aktualne wówczas tematy. Słuchałem Go niemal przy każdorazowym Jego w Trójmieście wystąpieniu i wywarł na mnie ogromne wrażenie, tak że stałem się Jego wielbicielem. Podczas kolejnej bytności, po naukach w Kościele Mariackim w śródmieściu Gdańska, poprosił słuchających o podzielenie się z nim swoimi wspomnieniami z siedmiu przeżytych dni w pracy i w domu w formie spisane go krótkiego pamiętnika, wysłanego następnie pod Jego adresem w Krakowie. Potrzebne Mu to było do własnych rozważań na spójeczne tematy.

Zapaliłem się oczywiście do tego i oto co spłynęło mi na papier.

Pamiętnik z 7 dni

26.06.87 - piątek. Minał tydzień mojego zupełnego, służbowego nieróbstwa. Mój zakład pracy przeżywa okres niedoboru zajęć dla wydziału produkcyjnego, który mnie zatrudnia, a więc dla mnie też. Korzystając z tego załatwiam w godzinach pracy sporo spraw domowych i samochodowych, zalegających od dłuższego czasu. Pracuję w stoczni, w bezpośredniej produkcji, przy budowie, próbach i remontach siłowni okrętowych. Jestem inżynierem, zbliżam się do emerytury, osiągając za rok 60 lat życia i 40 lat pracy. Dziś wieczorem, wraz z 20 stoczniowcami mam wyprowadzić w morze statek po remoncie gwarancyjnym na krótką próbę, po której jednostka ma odejść do eksploatacji. Zakłada się jedną dobę prób. Powinno wszystko odbyć się gładko, bo zgłoszone przez armatora usterki usunięto i sprawdzono. Jutro po południu mam być z żoną na przyjęciu imieninowym kuzyna Jana. Pojutrze zaś, w niedzielę, u nas będzie kawko-herbatka ze słodyczkami z okazji dość wysokiej rocznicy ślubu. Mają przyjść dzieci, wnuki, rodzeństwo i 89-letni Ojciec-senior. Wypływamy ze stoczni o 23.00. Część załogi i stoczniowców idzie spać, a część czuwa nad wstępnymi pracami rozruchowymi i regulacją urządzeń nawigacyjnych. Moja praca zacznie się rano.

27.06.87 - sobota. Zaczynamy rano na redzie próby siłowni. Już na początku ujawniają się trzy poważne usterki, których armator nie zgłosił wcześniej, a które uwidoczniły się przy zwiększonej mocy silników napędowych. Wina to ospałości załogi statku (niepolskiej), a usterki uniemożliwiają prawidłową pracę jednostki.

Trzeba je usunąć. Próbuje własnymi siłami naprawić jedną z nich, co nam się po 5 godzinach udaje. W międzyczasie zawiadamiamy dyspozytora stoczni, że konieczne są dwie części do wymiany, z których jedną trzeba pobrać z magazynu, a drugą dorobić na warsztacie mechanicznym. Jest wolna sobota i trzeba wezwać do pracy odpoczywających ludzi. W stoczniach to normalka, więc dyspozytor wysłał samochód po odpowiednich pracowników. Niektórych nie można znaleźć, bo ładna pogoda i dwa wolne dni pod rząd. Potrzebny mistrz, tokarz, frezer, magazynier, wydawca narzędzi. Są trudności, a czas ucieka. Na statku zapada decyzja, że część załogi stoczniowej, która wykonała już swoje zadania, opuści statek, a wraz z nimi opuści statek trzech ludzi - w tym i ja - aby wspomóc

dyspozytora w organizowaniu potrzebnych części. Razem schodzi 9 ludzi. Płyniemy motorówką do portu, a statek pozostaje na redzie. Jesteśmy o 19.00 w stoczni. Okazuje się, że ludzi do wykonania wymaganych części nie znaleziono i następne poszukiwania rozpoczną się w nocy. Nas trzech idzie do domów, umawiając się na 8.00 rano w niedzielę z powrotem w stoczni. Ja przebieram się w domu i jadę na imieniny kuzyna. Dobijam na miejsce o 22.00. Akurat goście wychodzą. Nic dziwnego, prawie wszyscy to starsi państwo. Na moją cześć, kilkoro bliższej rodziny zostaje. Jestem karmiony suto i około 22.40 wychodzimy wszyscy. Po drodze mówię żonie, że w niedzielę wracam do stoczni na statek i prawdopodobnie na popołudniową jubileuszową herbatkę nie zdążę. Przykre, ale żona przywykła do tego przez 35 lat służby okrętowi. "Navigare necesse est, vivere non est naecesse". Czeka duży okręt, któremu brak jednej rurki i jednego kółka. W domu o 23.40 telefonuje dyspozytor, że potrzebny jestem w stoczni i że przysyła samochód. O 24.00 jestem na miejscu, załatwiam co trzeba, i wracam do domu. Jest 1.00 w nocy i już niedziela.

28. 06. 87 - niedziela. Idę spać o pierwszej w nocy. Budzik na 8.00. Wiadomość ze stoczni, że wszystko będzie gotowe na 10.00. Rurka już jest i kończą obrabiać kółko. Żona idzie na 9.00 do kościoła. Ja nie idę, bo muszę być w gotowości. Puszczam mszę św. przez radio. Równocześnie kręcę mięso przez maszynkę. Przed wojną, na wsi, nawet ci, którzy pozostawali w domu, byli obowiązani zachować skupioną beczynność przez cały czas trwania mszy w kościele. A ja kręcę mięso na obiad. Przyjdą przecież na obiad dzieci i wnuki. W radiu mszę celebryje ks. biskup Tadeusz Gocłowski. Poznaje Go natychmiast po pełnym, czystym, serdecznym głosie. Mówi homilię o morzu, o ludziach morza, o patronie ludzi morza św. Piotrze i o tym, że powiał wiatr od morza... w nowym wymiarze. Są przecież Dni Morza.

Mówi pięknie i wzruszająco. Zawsze tak mówi, ale teraz, gdy w Jego słowach czuje się myśli Papieża z Gdyni i Zaspy, brzmi to jeszcze piękniej. Aż dziw, że nie ma usterek w nadawaniu. Przemija postać tego świata... Wybiegam zaraz po "Ojczy nasz" do stoczni. Jest 9.50. Spotykam wracającą żonę. Mówię jej, że przez to wzruszenie mogę sobie chyba zaliczyć radiową mszę św., mimo że nie jestem chory. To było coś więcej.

Jedziemy do portu i motorówką na statek. Dobijamy o 11.30. Jemy słaby obiad okrętowy i montujemy przywiezione części. Potem dwugodzinna pomyślna próba, różne oficjalności służbowe i pożegnalne - i znów wsiadam na motorówkę. O 19.00 jestem, jak wczoraj, wśród gości. Cieszą się, że jubilat przybył. Znów mnie karmią i cieszymy się wszyscy, że może być miło na trzeźwo.

29. 06. 87 - poniedziałek. Budzik dzwoni o 5.20. W godzinę później jestem w stoczni. Na razie nie mam co robić. Idę do kiosku po "Przekrój", potem jem śniadanie. Obijam się do 11.00, po czym idę do zakładowej przychodni na naświetlanie bolącego stawu. Następnie urywam się z pracy do domu, pożegnać odjeżdżające dzieci. Wracam o 14.00, przynosząc kolegom tort, który pozostał od wczoraj. Czas jakoś upływa do 15.00. Po obiedzie wychodzę z wnukiem i żoną, aby kupić jakąś



drobnośc upamiętniającą 35-lecie. Uchwaliliśmy, że szarpniemy się na jakieś 8-10 tysięcy zł. Gdzie te czasy, gdy dostała 25 róż i coś jeszcze bez większych finansowych uszczerbków? A teraz? Uparłem się, że ma być coś, choćby małutkie, ale trwale. Wchodzimy do pracowni "srebro-bursztyń" i sprzedawca proponuje różne świecidełka po około 20 000 zł. Owszem, może być też za 120 000 zł. Wychodzimy zadowoleni. Ostatni raz byliśmy w tego rodzaju sklepie trzy lata temu i nie wyczuiliśmy zmiany czasów. Idziemy do drugiego bez przekonania. I jednak udało się zdobyć ładne, gustowne i spore świecidełko za 8 500 zł. Cieszymy się jak z forda od wujka z USA. Mitycznego wujka. Potem żona idzie na jakąś uroczystość w swoim nauczycielskim duszpasterstwie, a ja z wnukiem do domu. Po drodze kupujemy papier fotograficzny, wywoływacz i błonę. Trzeba wywołać zdjęcia z pobytu Papieża na Wybrzeżu. Wreszcie lody i zestaw pocztówek z Heweliuszami do kolekcji 7-latką. Tym razem tylko 1 000 zł. Wnuk zostanie u nas do około dwudziestego lipca, bo mieszka na wsi, rodzice pracują i nie mają aktualnie urlopu. Dobrze, że dziadkowie zdrowi, a babcia już na emeryturze. W domu jemy kolację i gramy w wojnę. Babcia wraca o 21.00.

30. 06. 87 - wtorek. Budzik o 5.20. O 6.25 w stoczni. Śniadanie - i objam się do godziny dziesiątej. O 10.00 jest coś do załatwienia na jednym ze statków; po sprawdzeniu okazuje się, że sprawy wyglądają lepiej niż początkowo wyglądało. O 11.15 jestem na naświetlaniu. Pani asystentki nie ma, bo miała chwilę przerwy i poszła do dentysty. Gabinet dentystyczny piętro niżej. Tłoku nie ma. Czekam chwilę i po naświetleniu wracam do siebie, a po drodze kupuję w kiosku lody "Calypso". Mam w lodówce u szefa jeszcze kawałek tortu, właśnie dla szefa. Mówię mu, że to przekupstwo, bo chcę, aby podpisał mi urlop od 6 lipca. Szef jest bardzo łasy na słodycze i ma poczucie humoru. Urlop i tak podpisze, bo roboty aktualnie nie ma, a źle wygląda, gdy inżynier - i to z mocno siwiejącą głową - obja się. W drugiej połowie sierpnia zaczyna się ruch w interesie, to lepiej, aby był po urlopie. O 13.00 zaczynam pisać brudnopis 7-dniowego pamiętnika i tak dobijam do końca dnia pracy. Pracujemy 4 dni w tygodniu po 8,5 godziny i jeden dzień 8 godzin. Dzięki temu mamy wszystkie soboty wolne. Tak uchwaliliśmy dwa lata temu, i jakoś przeszło. Stoczniovcem lepiej iść na drobne ustępstwa.

Dziś pierwszy gorący dzień w Trójmieście. Po południu wyjazd na działkę "maluchem" - 12 kilometrów. Plewienie i podlewanie. Relaksowa herbata z turystycznej kuchenki. Parno. Wracamy o 20.30 spoceni. BBC i spać.

1.07.87 - środa. Nie usłyszałem budzika i spóźniłem się godzinę do pracy. Prawie nikt nie zauważył. Najbliżsi koledzy stwierdzili, że to zupełnie prawidłowo. Żartem. Gorąco nadal i parno. Zaczynam od śniadania i pisania tych słów na brudno. W domu śniadania nie jem. Wolę spać te 15 minut dłużej. Wyjście na statek. Potem przychodnia i naświetlanie. Następnie na innym statku regulacja silników. W dziale kadr składam dokumenty potrzebne do spraw emerytalnych. Czekam na to za rok w ramach przywilejów z Karty Stoczniovcy. Co rok niemal śledzimy poczynania decydentów w obawie o te przywileje. Nie są one wielkie, ale w oczy kłują. Kupuję ser i masło w stoczniovcym kiosku. Nagle w mieście od kilku dni brak masła. Po 15.00 planuję wyjazd do wujka, który ma 79 lat, mieszka 7 kilometrów od nas, ma samochód, lecz jeździ nim tylko 2 km w niedzielę do kościoła i 3 km na działkę, jeśli musi wieźć coś dużego. Zużywa 10% swojego przydziału kartkowej benzyny, a reszta jest dla mnie. Życzę mu długich lat życia i niesprzedawania samochodu. Proceder odstępowania benzy-

ny jest bezprawny. Ale czy to jedyne bezprawie w naszym kraju? Myślę często o uczciwości w naszym układzie. Gdy ludzie idą społecznie pomagać budować kościół, to często biorą ze sobą gwoździe, inne materiały i narzędzia. Wszyscy wiedzą, że jest to w dużej części ukradzione z państwowych zakładów pracy. I tym buduje się kościół. Kościół w Dębnie Podhalańskim zbudowali zbójnicy tatrzańscy z dobra nabranego u Madziarów i Liptoków. Kmicie ofiarował Najświętszej Pannie na Jasnej Górze kamuszki zerwane z kołpaków pomordowanych przez siebie bojarów. Wszystko gra. My rabujemy dla Najświętszej Panny własne dobro - polskie, a nie liptockie czy madziarskie. Ale czy rabujemy? Kto komu kradnie i komu krzywda? Gdzie czyn zbożny, a gdzie bezbożny? Gdy dyrektor fabryki wyraża zgodę na wypożyczenie samochodu ciężarowego do przewiezienia materiałów i ludzi na jakiś cel poza interesem własnego zakładu pracy, to też popełnia nieuczciwość, bo koszt idą na jakieś zlecenie, podrażające produkcję. Czy w budowę ołtarza papieskiego na Zaspie nie włożono takich "nieuczciwych" i "grzesznych" prac Bogu na chwałę, na cześć Papieżowi i na radość ludowi? Ilu ludzi zasymulowało chorobę, by w ramach druku L-4 pomagać przy budowie?

Chyba dla "demoludów" powinien jakiś nowy Mojżesz wejść na górę Synaj i przynieść zmodyfikowane przykazania dostosowane do współczesnych warunków. Póki co... Póki co jednak pojedę do wujka po 24 litry bezprawnej, "grzesznej" benzyny.

Przeszła ulewa. Pojechałem na działkę i okazało się, że tam nie padało. Narwaliśmy kwiatków dla wujostwa. Benzyny wujek akurat nie miał, ale umówiliśmy się, że w sobotę pojedziemy razem na stację i kupimy.

Wieczorem zatelefonowałem do mechanika, aby przyszedł naprawić pralkę. Obiecał przyjść jutro o 18.00. Dalej parno i zła biometeorologia. Serce bije 90 razy na minutę. Przed snem biorę kropelki. Nie pomagają. Biorę drugą porcję i wreszcie zasypiam.

2.07.87 - czwartek. Budzę się o piątej rano znów z przyspieszonym tętnem. Biorę kropelki. Jadę do pracy samochodem, bo o 12.00 chcę się urwać do Sopotu odebrać filmy, nakręcone kamerą 2x8 z pobytu Jana Pawła II na Wybrzeżu. Również z naszego pobytu w wiosce koło Złotowa, gdzie odbywał się uroczysty jubileusz nadania szkole imienia księdza Maksymiliana Grochowskiego, działacza społecznego w polskim szkolnictwie ziemi Złotowskiej, należącej wówczas do Niemiec. Ksiądz był stryjecznym dziadkiem mojej żony i komitet organizacyjny obchodu ją zaprosił. Ksiądz zginął zamęczony w 1939 r. Od rana mam zajęcia na statkach. Biometeorologia nadal zła. Biorę pastylkę na uspokojenie serca. Pogoda źle wpływa też na samopoczucie. Jestem podekscytowany i niecierpliwy. Wyjeżdżam do Sopotu.

Wracam o 13.00. Na filmach z uroczystości na wsi coś widać, ale na tych o Papieżu niewiele. Film jest niedoświetlony. Było pochmurno, a kolorowy film wymaga pełnego słońca. Wiedziałem o tym, ale kręciłem na szczęśliwy traf. Nie ma trafu. O 14.00 trochę dyskusji na aktualne problemy produkcyjne i koniec pracy. W domu sklejam filmy i sprawdzam na projektorze. O Papieżu prawie nic nie widać. Na innych widać, ale jakoś obrazu zła. Błony były przeterminowane, bo innych w sklepach nie było, i emulsja się zestarzała. Mogę sobie tylko powzdychać, że drzewiej było inaczej. O 19.00 przyszedł spec od pralki. Wymienił rurkę gumową, wziął 700 złotych. Mógłbym tę naprawę zrobić sam, ale w sklepach takich gumek nie ma. A prac trzeba, żona wprawdzie twierdzi, że najlepiej pierze się kijanką, podobno z autopsji z czasów wojny. Ale kto wie dzisiaj, co to jest kijanka do prania?

3.07.87 - piątek. W stoczni wyjaśniam od rana braki w dostawie jednego z urządzeń. Okazało się, że zamiast brakujących części przysłano od dostawcy nadmiar innych, niewłaściwych. W dokumentach ilościowo się wszystko zgadzało, nazwa była taka sama, tylko różnica w kształcie. Czuję, że trudno będzie to rozwikłać, bo jeśli w dokumentach jest dobrze, to znaczy, że jest dobrze. Amen. A warsztat nie ma części do montażu. Formalny sposób usunięcia pomyłki to tygodnie reklamacji, korespondencji, odwołań, monitów itp. Uruchamiam więc swoje znajomości i od lat ugruntowaną opinię, że Targowski mówi prawdę. A w każdym razie stara się mówić prawdę. Dostawca "kupuje" sprawę na telefon, obiecuje sprawdzić i naprawić pomyłkę. Robię to poza moimi obowiązkami służbowymi, choć wiem, że sprawa "powiesi się" na mnie i od tej chwili wszelkie opóźnienia i potknięcia będą z mojej winy. Całe szczęście, że mam w swojej fabryce nieoficjalną pozycję "szamana" z racji wieku i doświadczenia. Toteż władze się po mnie nie ślizgają. Mam świadomość, że przekroczyłem paragraf, który w latach pięćdziesiątych miał bodaj numer 284 KK, a obiecywał 5 lat za niedopełnienie obowiązków lub przekroczenie kompetencji. Wszyscy ten paragraf ciągle przekraczali i chyba dalej przekraczają, i dlatego stoi jeszcze ta Rzeczpospolita, choć nierządem. Boże odpuść!

W gazecie nekrolog kolegi z dnia złej biometeorologii. Serce. Robi się głupio, w moim był wieku. Dziś już sensacje z sercem minęły i pogoda łżejsza. Ale od wczoraj mam sensacje żołądkowe. Po wizycie u lekarza wychodzi, że pomieszałem mleko z kompotem z wiśni. Doba głodówki, krople i tabletki. Kupowałem synowi części do samochodu. Miałem trudności, bo w krótkim czasie zdrożały o 30%. Musiałem dwa razy jeździć, bo forsy mi zabrakło. W pracy miałem chwile spokoju. Nawet zdrzemnąłem się na fotelu, który "prawem kaduka" stoi

u mnie w biurze. O 14.00 zawiadomiono mnie telefonicznie, że natychmiast muszę wypełnić kwestionariusz paszportowy na planowany wyjazd służbowy do ZSRR. Okazało się, że mój stary paszport stracił ważność i że procedurę należy robić od nowa. Jest piątek i kończymy pracę. Od poniedziałku będę miał urlop, ale będę musiał mimo to biegać z papierkami paszportowymi. Całe szczęście, że nie zaplanowałem wyjazdu poza Gdańsk.

Po południu jedziemy na działkę. Pełen relaks. Pokazują się pierwsze truskawki i poziomki. Na Pomorzu przyroda po zimie rusza z trzytygodniowym opóźnieniem w porównaniu do reszty kraju. Zrywamy rzodkiewkę, koperek i szczypiorek. Podlewamy. Zbliża się koniec dnia. Koniec też pamiętnika siedmiodniowego.

Gdańsk 04.07.1987

Po wysłaniu tego "pamiętnika" księdzu profesorowi, w jakis czas potem udało mi się Go spotkać znów koło Mariackiego Kościoła. Zapytałem, od ilu autorów dostał coś podobnego. Odpowiedział, że od siedmiu, mimo, że prosił o to w wielu miejscowościach. Innego dnia, oglądając późnym wieczorem telewizję, natrafiłem na rozmowę księdza profesora z grupką studentów w ramach nie pamiętam już jakiej cyklicznej serii obrazów. Podczas rozmowy przytaczał On cytaty z dwóch pamiętników nadesłanych Mu przez słuchaczy, między innymi i z mojego. Zrobiło mi się przyjemnie. Miło było dostrzec, że szeroko sławny i podziwiany filozof współbrzmiał myślami choć przez chwilę z myślami moimi. Otrzymałem też pisemne podziękowanie za przesyłkę w bardzo serdecznym i uprzejmym tonie.

Krzysztof Targowski
Absolwent Politechniki Gdańskiej

CENZURA W CZASACH PRL-u

Sprawdzanie treści korespondencji stosuje się normalnie podczas toczącej się wojny i jest ono przeprowadzane przez organa wojskowe. Już w sierpniu 1944 roku rozpoczęto tę działalność, chociaż odnośny dekret PKWN ukazał się dopiero 18.12.1944. Korespondencja krajowa była sprawdzana do lipca 1945, natomiast cenzurowanie przesyłek kierowanych do odbiorców zagranicznych zniesiono dopiero 13.09.1946 r. Mimo oficjalnego przywrócenia tajemnicy korespondencji orientowaliśmy się, że nadal kontrolowane są przesyłki przeznaczone dla określonych adresatów.

Tak się przypadkiem złożyło, że wiosną 1946 roku widziałem postępowanie przy wysłaniu prywatnego listu do USA. Wryło mi się to na stałe do pamięci tak dokładnie, iż po niemal 53 latach mogę pokazać odnośne miejsce w urzędzie pocztowym "Gdańsk 5" (Oliwa, ul. Stary Rynek Oliwski 18) i to mimo zmienionego rozmieszczenia okienek w tzw. sali operacyjnej urzędu. Dla wyjaśnienia, czemu to wydarzenie tak mi się utrwaliło, trzeba cofnąć się nieco w czasie.

W roku szkolnym 1943/44 nasz komplet klasy I liceum w tajnej szkole średniej (Sterdyń, pow. Sokołów Podlaski) powiększył się o dwóch kolegów. Lekcje języka polskiego prowadził mój Tata i na pierwszym spotkaniu oglądaliśmy podręczniki, jakimi dysponowali nowi uczniowie. Mietek Tomczyk pokazał gruby tom dotyczący historii literatury polskiej, którego autorem był Manfred Kridl. Uśmiechając się, Tata powiedział, że ongiś był uczniem tego autora. Stwierdzenie to odnosiło się do

okresu nauki w warszawskim gimnazjum Konopczyńskiego, gdzie Ojciec uczył się od roku 1908/09 aż do matury, zdanej wiosną 1914.

Wiosną 1946 r. mieszkałem w Oliwie i tam poszedłem na pocztę po znaczki. Do okienka stało parę osób, więc zająłem miejsce za ostatnią, jakąś starszą panią. W chwili, gdy nadeszła jej kolej, podała urzędnicze list. Na kopercie odczytałem, że adresatem jest Manfred Kridl, mieszkający w USA. Byłem wówczas jeszcze zbyt mało wyrobiony, by poprosić tę panią o adres profesora dla jego byłego ucznia (a mojego Ojca). Przy najbliższej okazji opowiedziałem Ojcu to zdarzenie; nie czynił mi wymówek, bo potrafił wczuć się w moje zaskoczenie.



Waclaw Sawicki
w roku 1914

KRIDL MANFRED (1882-1957), pol. historyk i teoretyk literatury; od 1929 prof. uniw. w Brukseli, 1932-39 Uniw. Wil.; po 1941 w USA, od 1948 prof. Columbia University; pionier strukturalizmu w pol. nauce o literaturze, nawiązywał do ros. szkoły formalnej i teorii est. R. Ingardena; *Wstęp do badań nad dziełem literackim* (1936), studia o romantykach (*Antagonizm wieszczów* 1925), zbiory szkiców (*W różnych przekrojach* 1939), synteza *Literatura polska wieku XIX* (cz. 1-5 1925-33); *antologie* (*Polska myśl demokratyczna...*, wyd. ang. 1943, pol. 1945); *Literatura polska na tle rozwoju kultury* (1945, wyd. ang. 1956).

Fragment "Encyklopedii PWN"
tom 2 (1974), str. 604



Przykłady druków z lat 1945-1946 opatrzonych znakiem cenzury

Sama kontrola zawartości przesyłki była niezwykle powierczona, gdyż urzędniczka oglądnięła z obu stron kartkę rękopiśmienną, zaglądnięła do koperty (czy nie ma tam jeszcze czegoś), włożyła list do koperty, zakleiła i skrzydełko ostemplowała swoim datownikiem pocztowym. Przypuszczam, że w dalszym biegu przesyłka była jeszcze kontrolowana bardziej dokładnie.

Korespondencję przychodzącą do Polski z innych krajów cenzurowano oficjalnie jeszcze przez pewien czas po zakończeniu działań wojennych. Każda taka przesyłka była zaopatrzona w odcisk pieczęci cenzorskiej, którego przykład pokazuje się niżej.

Cenzura nadchodzącej korespondencji zagranicznej istniała w formie niejawniej aż do roku 1981. O jej istnieniu dowiadaliśmy się od nadawcy, który w innym liście pytał o odpowiedź na jakieś dawniejsze zagadnienie, wpisane do nie otrzymanej korespondencji. Takie "zaginięcia" trafiały się także w odniesieniu do listów poleconych! Jakąś "nieprawomyślną" wypowiedź udawało się niekiedy przemycić między wierszami tekstu, wpisanego na zwykłą widokówkę. Z Radia "Wolna Europa" wiedzieliśmy też, że cenzorzy wychwytyują przesyłki skierowane pod "zakazanymi" adresami.

Cenzurowanie korespondencji zarówno krajowej, jak i zagranicznej, przywrócone zostało z chwilą wprowadzenia stanu wojennego, czyli 13.12.1981 r., a zniesiono je dopiero 31.12.1982 r. W okresach oficjalnego działania kontroli korespondencji przesyłki w widocznym miejscu były oznaczane odpowiednią pieczęcią.



Ocenzurowana pocztówka z grudnia 1945 r.

Cenzurowanie wydawnictw ma dwie zasadnicze odmiany: prewencyjną i represyjną. W latach przedwojennych obowiązywała w Polsce cenzura represyjna, przeprowadzana po wydrukowaniu publikacji. W przypadku, gdy publikowana treść naruszała obowiązujące przepisy (albo była niezgodna z oficjalnym stanowiskiem, np. względem oceny reżimu hitlerowskiego) cenzor orzekał konfiskatę całego nakładu. Od takiej decyzji można było odwołać się do sądu, który nieraz uznawał konfiskatę za nieuzasadnioną. W tym przypadku Skarb Państwa wypłacał uczciwie skalkulowane odszkodowanie. Mój Ojciec prowadził sprawę gazety "Dziennik Bydgoski" i wielokrotnie uzyskiwał uchylenie decyzji o konfiskacie.

Cenzura prewencyjna jest przeprowadzana przez uprawniony organ państwowy jeszcze przed wydrukowaniem publikacji. Odmowa akceptacji uniemożliwia ukazanie się zakwestionowanego tekstu lub ilustracji. Ekipa PKWN natychmiast, już w roku 1944, wprowadziła cenzurę prewencyjną, którą objęte było dosłownie wszystko. Publikacje akceptowane przez Urząd Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk początkowo były zaopatrywane w odpowiednie oznaczenie symboliczne, umieszczone małymi literkami w stopce danego wydania, koło nazwy drukarni. Symbol taki miał zwykle jedną literę i wielocyfrową liczbę. Podczas wojny kontrolowanie wydawnictw prywatnych czy też publikowanych przez jakieś organizacje było zrozumiałe, natomiast humorystyczne wrażenie wywierało cenzurowanie oficjalnych wydawnictw rządowych, jak np. legalnych znaczków pocztowych!

Cenzurowanie wydawnictw było utrzymane przez cały czas PRL-u. Jako wymowne przykłady zamieszcza się tutaj przykłady z lat znacznie późniejszych, odnoszące się do zaproszenia na posiedzenie naukowe, a także do oficjalnego wydawnictwa mapowego. Dopiero w ostatnim okresie działania tych władz przestano umieszczać oznaczniki cenzury. Urząd Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk musiał też akceptować każdą pieczęć osobistą czy wizytówkę, zanim została ona wykonana w uprawnionej stemplarni.

Oprócz obiektów materialnych (druki, korespondencja) ekipa rządząca poddała cenzurze także emisje radiofoniczne. W początkowych latach okresu powojennego było to zadanie nieco złożone pod względem organizacyjnym, bo zdecydowana większość tekstów była wygłaszana "na żywo", jako że zapisu na taśmie magnetofonowej praktycznie jeszcze nie było. Każdy tekst, który miał być nadany, musiał być akceptowany przez

DZIEKAN I RADA WYDZIAŁU ELEKTRYCZNEGO
POLITECHNIKI GDAŃSKIEJ

zapraszają na
PUBLICZNA OBRONĘ PRACY DOKTORSKIEJ
mora inż. JERZEGO SAWICKIEGO

**„ANALIZA METEOROLOGICZNA SKOMPENSOWANEJ MODYFIKACJI
MOSTKA WIEATSTONEM”**

Kłoda odbędzie się w sobotę 19 września 1959 r. o godzinie 15⁰⁰ w sali
nr. 41 Gmachu Wydziału Elektrycznego

Przemier: Doc. dr Stanisław Trzaskawicki
Referenci: Doc. Józef Kurkiewicz
Doc. Artur Metal

Z pracą doktorską i opiniami referentów można zapoznać się w Czytelni
Biblioteki Głównej Politechniki Gdańskiej

Warszawa 1291 58 K.B. / 1-VIII



Przykłady druków z roku 1959 i 1968

powołanego kontrolera, który karty maszynopisu opatrywał stosownym znakiem. Kopie tych tekstów otrzymywał dyżurnat, który stale znajdował się w kabinie kontrolnej. W razie niezgodności emisji z tekstem zatwierdzonym - natychmiast wyłączał aparaturę nadawczą, a winny odchyłki był wzywany "na wyjaśnienia". O takim sposobie przeprowadzania cenzury dowiedziałem się od pewnego znajomego, który przez długi czas pracował w gdańskiej radiostacji.

Radiowęzły początkowo transmitowały przez sieć przewodową jedynie program rządowy. Głośniki zwano "kołchoźnikami", bo taka technika informacyjna dawniej u nas nie była znana. Później niektóre radiowęzły zaczęły rozpowszechniać własne audycje, niewątpliwie także uprzednio akceptowane "przez właściwy organ". Domyślałem się, że z uwagi na rozwój środków technicznych nie umieszczano już tam dyżurnych, a jedynie całość audycji była obserwowana przez organa kontrolne. Możliwość wyłączenia aparatury istniała jednak nadal, a odnośny wyłącznik był dobrze zakamuflowany. Dowiedziałem się o tym podczas "Wydarzeń Grudniowych 1970", gdy pełniłem dyżur nocny w tym naszym Domu Studenckim, gdzie w osobnym pomieszczeniu znajdowała się aparatura Rozgłośni Studenckiej, działającej techniką radiowęzła. W tych krytycznych dniach przebywał tam ktoś, kto miał dokonać wyłączenia z chwilą, gdy demonstranci opanują ten akademik. Do tego szczęściem nie doszło. Słyszałem jednak, iż w budynku Rozgłośni Gdańskiej przy Grunwaldzkiej 18, w pewnej chwili dokonano zapobiegawczo takiego wyłączenia aparatury.

Zupełnie odmienny był sposób "cenzurowania" audycji radiowych, emitowanych przez nadajniki położone w obcych krajach. Wiadomości po polsku nadawały początkowo bardzo

różne ośrodki. Oprócz brytyjskiego BBC, "Głosu Ameryki" z USA, Radia "Wolna Europa" z RFN - działała też Francja, Włochy i Hiszpania (Radio Madryt). Emisje te odbywały się w paśmie fal krótkich, szczególnie o długościach z przedziału od 31 metrów do 49 metrów. Z początkiem lat pięćdziesiątych pojawiły się w handlu nowe odbiorniki lampowe, mające tylko dwa zakresy: długo i średniofalowy. Bardzo szybko spostrzeżono, że konstrukcja jest opracowana jako trzyzakresowa, ale przedział fal krótkich nie jest w pełni wyposażony. Prywatny warsztat naprawiający odbiorniki (inż. Niedźwiecki, Grunwaldzka 144) szybko i niedrogo przerabiał takie aparaty. Ta wiadomość rychło się rozniosła; przypuszczam, że w innych miastach było to samo. Władze zorientowały się, że trzeba szukać innego rozwiązania, i nowy typ odbiorników "AGA", jaki pojawił się w roku 1951, miał już cztery zakresy, w tym dwa fal krótkich.

Rozwiązaniem pozwalającym eliminować dopływ niepożądanych informacji z obcych radiostacji było zastosowanie nadajników głośzących, które nadawały głośne warczenie lub terkot emitowany na tej samej fali, co zwalczany nadajnik. Koszt budowy i utrzymywania ruchu takiej głośzawki był znaczny, zatem budowano je z dość dużą mocą antenową, ale w znacznych odległościach między poszczególnymi nadajnikami. Miejsca zainstalowania takich urządzeń były łatwo dostrzegalne ze względu na specyficzny kształt anten nadawczych, a ich działanie spotykało się z ogólnym potępieniem ludności. Głuszono bowiem bez wyboru wszystko to, co dany nadajnik promieniował, nawet prognozę pogody czy sygnał czasu. Aparatura zagłuszająca dobrze zatem pasowała do porzekadła "mądry przegadał, ale głupi pobili". Nic więc dziwnego, że podczas "Wypadków Czerwcowych 1956" w Poznaniu demonstranci



Dwie przesyłki z grudnia 1981 r.

opanowali miejscową głuszawkę i urządzenia jej dokładnie zdemolowali.

Po tym doświadczeniu ekipa rządząca zmieniła nieco stosowane rozwiązanie, bowiem zwiększono liczbę nadajników i zmniejszono odstęp między nimi. Układ taki wyraźnie widziałem w Leningradzie latem 1975 roku; fachowcy uważali, że przy takim rozwiązaniu stopień pokrycia terenu przez zakłócenia jest wyraźnie większy, zaś podwyższone koszty nie były brane w rachubę. Od połowy epoki Gomułki nastąpiło duże zmniejszenie liczby nadajników zakłóceń na terenie całego kraju. Rychło spostrzeżono, że aparaty te mają wyraźnie zwiększoną moc antenową i nadają z sąsiednich krajów socjalistycznych, szczególnie z ZSRR. W tych warunkach dokładność zakłócania wyraźnie się zmniejszyła. Ciekawe, ile Polska musiała płacić za tego rodzaju "przyjacielską" pomoc?

W tym miejscu chcę stwierdzić, iż z założenia zagłuszanie nie występowało na jednej z częstotliwości "Wolnej Europy". Radiostacja ta emitowała równolegle na wielu falach, od pasma 10 metrów aż do 70 metrów. W każdym województwie jedna fala, o codziennie zmienianej częstotliwości, była wolna od zakłócania, gdyż audycje nagrywano dla kierownictwa danego Komitetu Wojewódzkiego PZPR. Wyraźne potwierdzenie tej obserwacji usłyszałem 4 stycznia 1971 w wypowiedzi sekretarza KW PZPR Jerzego Hajera na spotkaniu z kierowniczą kadrami Politechniki Gdańskiej w Auditorium Maximum, gdzie omawiał on przebieg "Wydarzeń Grudniowych 1970". W mojej praktyce słuchania "Wolnej Europy" prawidłowość taką odkryłem o kilka lat wcześniej, chociaż wówczas przyczyny nie znałem.

Jerzy Sawicki

Wydział Elektrotechniki i Automatyki

16 kwietnia 1999 r. w Auditorium Novum Politechniki Gdańskiej odbył się koncert symfoniczny "Pamięci ofiar Katyńia". Poniżej przedstawiamy słowo wstępne wygłoszone przez JM Rektora PG, prof. Aleksandra Kołodziejczyka.

Ku wiecznej pamięci

Szanowni Państwo,
jak co roku, w kwietniu na nowo do życia budzi się uśpiona na czas zimy przyroda. Prawie dla wszystkich początek wiosny jest źródłem wielu radości: cieszą pierwsze kwiaty, nabierające puszystości kobierce traw, nabrzmiewające pąki na drzewach, radosne ptaki uwijające się przy gniazdach, różnorodne stworzenia wygrzewające się w ciepłych promieniach słońca. Wiosna kojarzy się nam z pięknem, radością i życiem. Jakże zgoła inny w nastroju był kwiecień 1940 r. dla polskich jeńców wojennych pojmanych przez Armię Czerwoną jesienią 1939 r., i dla wielu innych Polaków uwięzionych i wywiezionych przez NKWD w głąb Rosji Sowieckiej. Dla nich kwiecień 1940 r. był inny nie tylko dlatego, że do wschodniej części Europy wiosna jeszcze nie dotarła, ale ten miesiąc okazał się dla nich miesiącem śmierci. To właśnie wtedy rozpoczęła się na masową skalę eksterminacja bezbronných jeńców i więźniów, których jedynym przewinieniem była przynależność do Narodu polskiego. Od 1940 r. kwiecień stał się dla nas miesiącem wspomnień, zadumy i żałoby. Oczywiście żałoby narodowej, chociaż nieraz nawet sami Polacy wyrażali opinię, że Zbrodnia Katyńska dotknęła jedynie krewnych ofiar zgładzonych w sowieckich obozach, więzieniach i łagrach oraz ewentualnie ich przyjaciół i znajomych, wobec czego tylko ich obowiązuje żałoba. Nic bardziej błędnego! Niepowetowaną stratę poniósł wówczas cały Naród. Ostrze represji zostało skierowane przeciwko elicie, jednostkom najlepiej wykształconym, spełniającym najważniejsze funkcje państwowe i społeczne, pielęgnującym wielowiekową tradycję, dotknęło ludzi, bez których żadne współczesne państwo nie może prawidłowo funkcjonować. Oprócz zawodowych oficerów, funkcjonariuszy policji i służb ochrony pogranicza wymordowano wielu rezerwistów powołanych w 1939 r. do obrony Kraju przed hitlerowskim najeźdźcą. Pośród nich byli pisarze, nauczyciele, profesorowie, lekarze, prawnicy, inżynierowie, duchowni, ziemianie, przedsiębiorcy, urzędnicy państwowi, wszyscy ci, o których mówi się, że

stanowią awangardę narodu. Na podkreślenie zasługuje fakt, że podobne działania równocześnie prowadzili hitlerowcy. Była to zмова mająca na celu wymazanie Polski z mapy Świata, pozabawienie jednego z największych Narodów Europy przywódców intelektualnych i duchowych, a z reszty uczynienie niewolników. Żagładę elity prowadzono z niezwykłą brutalnością, bezwzględnością, na masową, niespotykaną w dotychczasowej historii skalę, z pogwałceniem międzynarodowego prawa i podstawowych zasad humanitaryzmu. Niemcy pobudowali specjalne obozy, rodzaj fabryk śmierci, gdzie przeprowadzali egzekucje, stosując specjalnie opracowane technologie z użyciem trujących gazów i krematoriów. Natomiast kaci sowieccy strzelali w tył głowy z bezpośredniej odległości, każdej ofiarze osobno, żeby nie zmarnować ani jednej kuli. Na odludziu, z dala od świadków stawiano skrupowanych ludzi nad wykopanymi dołami, tak żeby po strzale ich ciała spadały wprost do zbiorowych mogił. Mordowano też w budynkach NKWD znajdujących się w miastach. Tam egzekucje prowadzono w dzwiękoszczelnych, podziemnych pomieszczeniach w nocy, po czym ciała wywożono i zakopywano poza miastem. Kaci spieszyli się, bo normy zabijania mieli wyśrubowane i przed świtem musieli w ukryciu wywieźć ciała, żeby nikt niepowołany nie zauważył efektów ich pracy. A pracę mieli wyjątkowo ciężką i wyczerpującą, dlatego dla poprawy samopoczucia każdą dniówkę kończyli alkoholową libacją. Po wymordowaniu prawie wszystkich jeńców z Kozielska, Ostaszkowa i Starobielska dostali premie, odznaczenia i pochwały. Niedługo jednak się

nimi cieszyli, gdyż ich przyszłość była z góry przesądzona. Bezpośredni wykonawcy i świadkowie tych straszliwych wydarzeń stali się równie niebezpieczni jak sama zbrodnia, dlatego podzielili los swoich ofiar. Mimo to, dziwnym trafem, nieliczni świadkowie dożyli aż do lat 90., tj. do czasu, kiedy o Zbrodni Katyńskiej można już było nie tylko mówić bez obaw, ale i rozpocząć dochodzenia w jej sprawie. Świadkowie ci zdali relacje z tego co sami robili, a czego dokonali ich



przełożeni, podwładni i współpracownicy. Wstrząsające są wyznania Soprunienki i Tokariewa. Dzięki tym relacjom, a także na podstawie dowodów wydobytych ze zbiorowych mogił, oraz nielicznych, aczkolwiek niezwykle ważnych dokumentów, poznaliśmy szczegóły mordowania ofiar, których szczątki spoczywają w Katyniu, Miednoje i Charkowie. Znajduje się ich tam około piętnastu tysięcy. Rozpoczęto dla nich budowę cmentarzy, zostaną im oddane należne honory. Nadal jednak nieznanym jest los kilkuset tysięcy Polaków, którzy znaleźli się na Nieludzkiej Ziemi w czasie II wojny światowej i bezpośrednio po jej zakończeniu. Przepadli bez śladu, prawdopodobnie ich kości nadal poniewierają się po bezkresnych obszarach Imperium Zła. Czy kiedykolwiek dowiemy się czegoś o ich przejściach? Nie traćmy nadziei. Jeszcze nie tak dawno o Tragedii Katyńskiej nie wolno było mówić. Prześladowani byli nawet księża, którzy wznosili modły i odprowadzali msze św. za spokój dusz ofiar pomordowanych przez katów sowieckich. A dzisiaj nie tylko dysponujemy dokumentami demaskującymi tych, co podjęli decyzje o rozstrzelaniu niewinnych, bezbronnych ludzi, ale znamy przebieg tragicznych wydarzeń, wiemy o usiłowaniach ukrycia zbrodni, w czym ochoczo i skutecznie przez długi czas pomagały rządy zachodnich, demokratycznych państw. Jestem przekonany, że dokumenty dotyczące losu setek tysięcy zaginionych istnieją, są nadal przechowywane, i przyjdzie stosowny czas na ich ujawnienie.

O Zbrodni Katyńskiej i podobnych wydarzeniach nie możemy zapomnieć, musimy o nich mówić, wracać do sprawy, chociażby dlatego, żeby była przestrożą dla innych. Żeby wszyscy byli świadomi tego, że nawet zbrodnie popełniane w największym ukryciu wychodzą na światło dzienne. Nagłaśnianie ludobójstwa ma niezwykle istotne znaczenie, ponieważ nie spełniły się nadzieje związane z odejściem na zawsze największych zbrodniarzy świata - Stalina i Hitlera. Wydawało się, że już nigdy więcej nie pojawią się im podobni - bestie w ludzkiej skórze. Jakże złudne były te oczekiwania. Zwyrondniały mor-

dujący z pobudek politycznych, rasowych i religijnych, byli, są i będą. I dopóki zbrodnie popełniane na własnym narodzie, na współobywatelach należących do mniejszości narodowych, na wyznawcach innych religii będą uważane za sprawy wewnętrzne poszczególnych państw i nie będą podlegać międzynarodowej jurysdykcji, nie uda się położyć kresu eksterminacjom dokonywanym na oczach całego świata. Muszą istnieć międzynarodowe siły porządkowe i ponadpaństwowe trybunały stojące na straży poszanowania prawa i godności ludzkiej, niedopuszczające do czystek etnicznych, czy religijnych. Oczywiście każda interwencja wymaga kosztów, w tym niejednokrotnie w postaci ofiar z ludzkiego życia. Ratunek i niesienie pomocy związane są z niebezpieczeństwem. Takie zagrożenie towarzyszy ratownikowi wyciągającemu ludzi spod lawin, strażakowi wynoszącemu nie tylko ludzi, ale i dobytek z pożaru, policjantowi zwalczającemu przestępców. Na to samo narażony jest żołnierz broniący ofiar czystek etnicznych, prześladowań religijnych i innych przejawów totalitaryzmu. Gdyby pod koniec lat 30. społeczność międzynarodowa powstrzymała Hitlera w jego żądaniach i zapędach, mogłoby nie dojść do II wojny światowej, a tym samym i do Zbrodni Katyńskiej. Zapewne wysiłki te byłyby opłacone tysiącami ludzkich istnień, ale porównanie do milionów ofiar II wojny światowej nie wymaga komentarza.

Szanowni Państwo,

zanim na scenie pojawią się Orkiestra Polskiej Filharmonii Bałtyckiej i soliści: Kaja Danczowska - skrzypce, Roger Zimmermann - gitara i Remi Boucher - gitara, aby pod dyktando Janusza Przybylskiego wykonać utwory Joaquina Rodrigo i Henryka Wieniawskiego, zadumajmy się nad losem ofiar Zbrodni Katyńskiej, ofiar II wojny światowej, ofiar współczesnej przemocy, gwałtów, nienawiści, buty, rasizmu i nietolerancji. Oddajmy im cześć przez powstanie i chwilę milczenia.

Aleksander Kołodziejczyk
Rektor Politechniki Gdańskiej

Politechnika Leningradzka lat 70. - oczami stażysty

Gdy byłem na stażu, dzisiejszy Sankt Petersburg nazywał się jeszcze Leningrad, a uczelnia, do której pojechałem - Leningradzkiej Politechnicznej Institut im. Kalinina, ul. Politechničeskaja 25.

Jak pisałem w swoim artykule z kwietnia 1998 (PISMO PG nr 4/98), do naszej Katedry przyjechał z Moskwy z wizytą prof. Magier, i po dyskusjach z nim obrałem temat swojej pracy habilitacyjnej; brzmiał on: "Zwalczanie tlenków azotu N_2O_4 i N_2O_5 drogą recyrkulacji spalin w paleniskach kotłów parowych". Temat o powadze światowej. W Polsce był tylko jeden kocioł, którego moje badania mogły dotyczyć, w elektrowni ŁAGISZA na Śląsku. Tam też chciałem przeprowadzić badania.

Dzięki prof. Henrykowi Więckiewiczowi, dziekanowi Wydziału Mechanicznego PG, udało mi się wyjechać do Leningradu. Instytut Techniki Ciepłej Politechniki Gdańskiej wystąpił do Ministerstwa Oświaty i Szkolnictwa Wyższego - Biura Współpracy z Zagranicą, aby pozwolono mi odbyć staż naukowy od 9.09.1970 do 20.12.1970 roku, przesuując moje zajęcia na uczelni na semestr letni. Tak więc pracę habilitacyjną miałem wykonać na stażu naukowym pod kierownictwem prof. dr. Wiktora Włodzimierowicza Pomierancewa. Był to profesor światowej sławy, który zajmował się spalaniem paliw. W Polsce tą samą dziedziną zajmował się wówczas profesor Dionizy Smoleński z Warszawy.

Przedłożyłem program pracy, który został zatwierdzony przez władze nasze i uczelni w Leningradzie.

A więc wyjechałem z Warszawy przez Wilno pociągiem sypialnym do Leningradu. Jechałem z Polakiem, panem Modzelewskim, który mieszkał w tym mieście od rewolucji. Całą drogę opowiadał mi historię swojego życia.

W Grodnie można było wysiąść na dworcu, na krótki czas. Poza smacznymi pierożkami nic nie było do kupienia. Rano, jak dojeżdżaliśmy do Leningradu, widziało się po obu stronach nasypu kolejowego tylko bagna. Po niedługim czasie - orgia świateł leningradzkich. Wysiedliśmy z p. Modzelewskim na dworcu kolejowym, posypanym trocinami i brudnym. Dopomógł mi złapać taksówkę, by pojechać do hotelu. Dali mi pokój jednoosobowy za 20 rubli, komfortowy, w hotelu WYBORG-SKAJA. Podobno w tym hotelu był podsłuch. Ponieważ nie mogłem tyle płacić za pokój, przenieśliem się po pewnym czasie do tańszego pokoju, za 5 rubli, i tam mieszkałem do końca mego pobytu.

U profesora Pomierancewa stawiałem się następnego dnia. Wiedział już o moim przyjeździe. Bardzo grzecznie i uprzejmie przyjął mnie w swoim gabinecie. Przedstawiłem mu 4 własne prace badawcze; powiedział, że nie zna języka polskiego i spytał, skąd tak dobrze znam rosyjski. Odpowiedziałem, że byłem już w Rosji (deportacja Polaków w 1915 roku, w tym moich rodziców do Jarosławla nad Wołgą) podczas cofania się wojsk rosyjskich. Potem wykładałem (od 1939 do 1941 r.) w Techni-

kum Kolejowym przedmioty techniczne w języku rosyjskim. Podczas studiów też korzystałem z książek rosyjskich.

A więc zostałem miło przyjęty przez Rosjan. Zaznajamiałem się z pracami naukowymi Akademii Nauk ZSRR, słuchałem wykładów profesora Pomierancewa: "Teoria gorenij i topocznyje processy", jak również wykładów innych profesorów i docentów.

Rosjanie tłumaczyli swobodnie książki autorów amerykańskich na język rosyjski, więc wykłady ich oparte były na najnowszych zdobyczach nauki. W Katedrze było trzech profesorów, trzech docentów i trzynastu asystentów - w dwóch pokojach; przeraźliwy tłok i brak miejsca do pracy. Było też kilku studentów wykonujących odpłatnie prace zlecone, którzy byli wtajemniczani w nowe prace badawcze. Jeden z nich, Kazachstańczyk, tak mnie polubił, że mimo zakazu przynosił mi po kryjomu pracę z Katedry, pt. "Obliczanie kotłów". Naraził się tym na naganę. Znał Polaków z Kazachstanu, wywiezionych przymusowo w latach 1920-1941. Dzielny człowiek.

W czasie mego pobytu przyjechała cała katedra niemiecka ze Stuttgartu, pod kierunkiem prof. Quacka. Przez dwie godziny tłumaczyłem wykład prof. Pomierancewa z języka rosyjskiego na niemiecki i odwrotnie - wypowiedzi Niemców na rosyjski. Początkowo prof. Quack myślał, że jestem Rosjaninem. Gdy powiedziałem, że jestem Polakiem z Politechniki Gdańskiej, bardzo się ucieszył. Dając mi swój bilet wizytowy zaprosił mnie do Stuttgartu. Okazało się, że był on asystentem prof. Remboldta, który był kierownikiem Katedry Kotłów Parowych w Politechnice Gdańskiej przed wojną. Ja zaś korzystałem, jako pracownik naukowy Katedry, z jego ulotek, które zachowały się w Katedrze po ustąpieniu Niemców. Były to nasze pierwsze obliczenia kotłów - wg wskazań prof. Remboldta. Jego ulotkę przetłumaczyłem na język polski. Nie było wtedy żadnych materiałów do studiów! Projektowało się kotły "po omacku", z praktyki.

Politechnika Leningradzka w roku 1970, kiedy byłem na stażu, posiadała 10 fakultetów, a mianowicie; hydromechaniczny, elektromechaniczny, elektrotechniczny, mechaniczny-budowy maszyn, fizyko-mechaniczny, fizyko-metalurgiczny, inżynierjno-ekonomiczny, radioelektroniczny, jak również wieczorowy i zaoczny kurs przygotowawczy dla cudzoziemców. Było 60 specjalizacji, kilkadziesiąt grup i jedna grupa bardzo zdolnych studentów, pod kierownictwem dziekana. To mieli być przyszli ludzie rządzący Rosją. Było 88 katedr, 130 profesorów i docentów, 4 000 pracowników naukowych, w tym też asystentów. Od roku 1917 ukończyło Politechnikę 50 000 inżynierów. Było 16 000 studentów. Władze nie pozwalały na rozbudowę uczelni.

W Katedrze Kotłów Parowych studenci robili tzw. kursowej projekt, tj. mały kocioł energetyczny, a więc obliczenia cieplne, cyrkulacje aerodynamiczne, wytrzymałościowe itd. Rysunki wykonywali w ołówku, na brystolu. w trzech przekrojach i widokach na formacie A4. Nie chcieli mi ich pokazać, mimo moich nalegań! Praca dyplomowa trwała od 4 1/2 do 6 miesięcy na 5. roku - duży kocioł energetyczny, przy zunifikowaniu na różne paliwa oraz z regulacją pary przegrzanej. Praca opierała się na ogół na zleceniach z przemysłu. W Katedrze mogli także pracować studenci, i zarobić 40 rubli miesięcznie. Wykłady prowadzili profesorowie (3), docenci (3) i asystenci (3).

Na uczelni 30% studiujących stanowiły kobiety. Do dyplomu wymagano 36 tygodni praktyki. Na sekcji kotłowej było 20 mężczyzn i 20 kobiet. Obciążenie roczne asystenta - 900 godzin. Katedra miała maszyny analogowe, całkujące, sumujące, cyfrowe itd. Plany naukowe układane były do roku 2000.

Profesor z doktoratem zarabiał 450-500 rubli, i 160 do 180 rubli jako dodatek naukowy; z tytułem kandydata nauk - 320 rubli; docent - 270-320 rubli i dodatek naukowy 125; asystenci

105 - 135 rubli, ze stopniem kandydata nauk 165 - 230 rubli; laborant - 74 ruble z dodatkiem 37 rubli.

Biblioteka główna miała ponad 4 miliony tomów, ok. 1200 tytułów czasopism krajowych i zagranicznych.

Decyzję budowy Petersburga powziął car Piotr I (1682-1725) w trakcie wojny ze Szwecją. Sankt Petersburg leży na 101 wyspach, ma 588 mostów, w tym 22 podnoszone.

A oto niektóre dane statystyczne o tym mieście: jest tu 21 muzeów, 89 różnych pomników, 11 teatrów, filharmonia, szkoła choreograficzna, 2 sale koncertowe, centrum telewizyjne, 39 kin, 15 pałaców i domów kultury, 11 wyższych uczelni, 19 dworców metra, 12 dworców kolejowych, 121 ogrodów i 11 parków, 84 bulwary, 134 skwery, 6 sanatoriów, 10 stadionów sportowych, 17 miejsc obsługiwanych adresów (za 5 kopiejek można było dostać natychmiast poszukiwany adres). Jest 18 hoteli, 15 księgarni, a kwiaciarni 5 - i to bez kwiatów.

Kościół katolicki św. Katarzyny na Newskim Prospekcie projektował Vallin de La Motte. Był tam pochowany nasz król, Stanisław August. Ciało jego wysłano do Polski do, a kościół przebudowano na pływalnię.

Leningrad - Petersburg jest jednym z najpiękniejszych miast w Rosji. Ja byłem zachwycony tym miastem.

Na wycieczce szlakiem Puszkina oglądałem obelisk, gdzie upadł Puszkina w pojedynku, i dwa słupki w odległości 10 kroków, oznaczające miejsca, z których strzelali do siebie Puszkina i d'Anthes. Wtedy, po pojedynku, tłumy ludzi czekały nad rzeczką Fontanką na wiadomość - czy Puszkina żyje? Pochowano go w nocy w Puszkinie, obok jego niani, w jego dobrach. Car bał się rozruchów. Spytałem, jakie był wzajemne stosunki między Puszkinem a Mickiewiczem. Dowiedziałem się, że bardzo dobre.

Chodziłem do kościoła francuskiego na Kowieskim Pieireulku, sławnym z tego, że marszałek de Gaulle był tu na mszy św. podczas wizyty w Leningradzie. Mszę św. odprawiał ksiądz Litwin po polsku. Do chrztu św. Rosjanie przynosili dzieci po kryjomu, wieczorem, i tylko kobiety. Mężczyzn w kościele nie było. Na każdym kroku bojaźń.

Byłem chyba we wszystkich muzeach, teatrach i w kilku kinach. Za wszystko płaciło się dość drogo. Byłem na cmentarzu NEKROPOL, gdzie są pochowani budowniczowie Petersburga; wejście płatne. Odwiedziłem również meczet.

Nadszedł dzień powrotu. Na granicy w ogóle nie kontrolowano mnie. Żadnego cła nie płaciłem: ani przy przyjeździe, ani wyjeździe. Tylko obrączkę musiałem wpisać, że to złoto. Gdy przekroczyłem granicę, odetchnąłem. Zabrano mi paszport, pasażerów wyprowadzono z przedziałów i zrobiono rewizję. Jeden żołnierz biegał po dachu, a drugi pod pociągiem. Powiedziałem, że boję się jechać do Polski, bo tam są rozruchy (grudzień 1970 roku). Odpowiedziano mi: "Niech pan się nie boi - nasze wojska pana obronią". Dnia 22 grudnia byłem w Warszawie i rozliczyłem pieniądze w Ministerstwie.

Do Gdańska przyjechałem na dzień przed wigilią. Obawiałem się tego powrotu. Wszędzie były czołgi. Dom Partii spalony. Czuć gaz i spaleniznę. Zginęło kilkadziesiąt osób, które chowano w nocy na cmentarzu nie wiadomo gdzie, na koszt państwa.

Mój staż naukowy w Leningradzie dał mi dużo korzyści naukowych. Musiałem jednak zmienić temat pracy habilitacyjnej, bo jedyne w Polsce urządzenie recyrkulacji spalin zostało wymontowane. Dlaczego? Nie wiem.

Trzeba stwierdzić zupełnie obiektywnie, że poziom nauki w Politechnice Leningradzkiej był wysoki. Wiedzę zdobyty w Leningradzie przeniosłem na naszą uczelnię, w Gdańsku.

*Tomasz Pankiewicz
Wydział Oceanotechniki i Okrętownictwa*

Szachownica pragnień i możliwości - czyli gry dydaktyczne (cd.)

Doświadczenia "Bauhausu" (cd.)

Na podstawowy, jasno sformułowany problem "Czy istnieje nauka tworzenia", Gropius odpowiada przecząco. Swoje własne, ciekawe propozycje w tej dziedzinie traktuje jako środki pomocnicze, to wszystko, co w sztuce nie jest już właściwie sztuką". Bowiem "sztuka nie jest gałęzią wiedzy, której by można krok za krokiem uczyć się z książki". Bez intuicyjnej bezpośredniości niewymierzalnego ujęcia artystycznego ducha, nie może powstać żadne prawidłowe dzieło sztuki. Iskra twórczego artyzmu rozmija się z logiką i rozsądkiem".

Tezy o apriorycznych zdolnościach i kształceniu w sensie odkrywania talentów rzutowały na koncepcję programu, proporcje pomiędzy teorią i praktyką, rozwijaniem umiejętności manualnych i umysłowych, eksperymentowaniem a przyswajaniem zasad itp. Preferowały działania praktyczne i samodzielne eksperymentowanie. Manipulacje manualne miały aktywizować utajone zdolności i wyzwalać koncepcje. Oryginalne potraktowanie ćwiczeń warsztatowych, studia nad właściwościami materiału, zastosowanie danych z psychologii itp., wszystkie te metody, z których do dziś słynie "Bauhaus", odegrały niewątpliwie ważną rolę. Niezależnie od dyskusyjnego charakteru przesłanek, wywiedzione z nich metody działania są po dziś dzień z powodzeniem stosowane. Współcześni nauczyciele akademicy uważają "krok naprzód w stosunku do systemów Ittena" i bauhausowskiej pedagogiki "za swój znaczny pedagogiczny sukces". Zastrzeżenia budzi natomiast niedocenicanie wiedzy teoretycznej i wiara w nieograniczone możliwości praktyki. Uprawiana w "Bauhausie" dyskursywna wiedza teoretyczna dotyczyła nie problemów artystycznych, lecz technicznych: materiałoznawstwa, technik wytwórczych, a także teorii widzenia, psychologicznego wpływu kolorów i form. Skoro wiedza dotycząca twórczości nie istnieje, to znajomość dzieł sztuki dawnej i współczesnej nie może przyczynić się do rozwoju talentu, a przeciwnie, stwarza niebezpieczeństwo naśladownictwa i zahamowania inicjatywy własnej. Nauczanie historii architektury i sztuki powinno się znaleźć na latach starszych, wówczas gdy studenci wyrobili już sobie własne sposoby wypowiedzi twórczych.

Antyteoretyczne nastawienia i wyolbrzymianie roli praktyki wynikały z prób reaktywowania dawnych, występujących w rzemiośle wzorów, gdzie nauczający musiał być także "mistrzem" w zawodzie. Gropius sądził, że dawni nauczyciele typu akademickiego, nawet wykazujący się wielką erudycją i znajomością przedmiotu, nie są przydatni w kształceniu artystów. Tylko "twórczy artyści" są predestynowani do tej działalności, z tym, że jednocześnie muszą być "urodzonymi pedagogami".

Niezbędnym warunkiem prawidłowej dydaktyki jest czynny udział nauczających w twórczej praktyce. Dlatego nie należy zatrudniać w szkolnictwie młodych architektów, którzy dopiero co ukończyli studia. Nauczać powinni tylko posiadający pewien dorobek i doświadczenie w pracy projektowej i budowlanej. Postulatów tych zresztą nigdy ściśle nie przestrzegano. Długoletni nauczyciele "Bauhausu", twórcy tej miary co J. Albers, M. Breuer, G. Stoltz, podjęli pracę pedagogiczną w 1925 r., bezpośrednio po ukończeniu studiów. Sam Gropius natomiast w ciągu pierwszych 9 lat swej profesury na Uniwersytecie Harvardzkim (MJT) nie otrzymał żadnego poważniejszego zamówienia i tylko wspólnie z Breuerem zaprojektował i zrealizował kilka domków jednorodzinnych. Szerokiej praktyki na

terenie USA nie posiadał i jako przyjezdny, miejscowych warunków bowiem znać nie mógł. Niemniej wywarł znaczny, korzystny wpływ na szkolnictwo architektoniczne i architekturę w USA.

Przewyciężenie epigonizmu akademickich teorii było niewątpliwą historyczną zasługą "Bauhausu". Wszakże proponowany model nauczania "czysto praktyczny" zawierał, oprócz pozytywów, pewne założenia, które w konsekwencji sprzyjały pojawieniu się nowego naśladownictwa i stagnacji form. Założenia o a priori danych zdolnościowych artystycznych, o spontaniczno-naiwnym, nie kontrolowanym refleksją procesie twórczym, nigdy nie zostały zweryfikowane. Nowe badania dotyczące psychologii twórczości raczej ich nie potwierdzają. Te ożywione, zwłaszcza począwszy od lat 50., badania dotyczą nie tylko twórczości artystycznej, ale także naukowej, wynalazczej itp., marginesowo tylko poruszają problemy twórczości architektonicznej. Jak wynika z tych badań, wynalazcy i nowatorzy nie są pozbawieni erudycji i rutyny. Podstawowe cechy odkrywców i prekursorów to nie "świeży", pozbawiony wiadomości umysł, lecz pewne cechy osobowości sprzyjające przezwyciężaniu uprzednio wyuczonych i utrwalonych nawyków i schematów myślowych. Pozornie przeciwstawne w stosunku do rozsądku i racjonalnej refleksji cechy, jak fantazja, polot itp., nie są dodatnio skorelowane z ubóstwem w zakresie informacji. Problem związków inteligencji z twórczością nie przestaje być



Zasady starochińskiej sztuki "Feng Shui" wkraczają do projektów studyjnych!
(Na zdjęciu: dyplom nt. "Dworzec Główny w Sopocie")

przedmiotem sporów toczonych wśród specjalistów. Najbardziej prawdopodobny jest pogląd A. Strzaleckiego, iż twórcze myślenie zależne jest od ogólnego poziomu inteligencji, przy czym każdy rodzaj twórczości wymaga dodatkowych uzdolnień specjalnych. Zależności te odnoszą się prawdopodobnie także od uzdolnień twórczych, a studia nad biografiami wybitnych artystów wydają się to potwierdzać.

Model praktyczny

Reaktywowanie wzorów adekwatnych rzemiosłu, eliminowanie teorii oraz założenie, iż **kształcenie** wrażliwości estetycznej jest z natury rzeczy niemożliwe, nie zapobiega stagnacji, naśladownictwu i zastoju. W modelu, który tu będzie krótko nazywany "modelem praktycznym", obowiązuje powstrzymanie się przed formułowaniem jakichkolwiek zasad, wytycznych, wskazówek. Zakłada się, iż student powinien sam znaleźć rozwiązanie w wyniku wyzwolenia twórczych, nieujawnionych dotąd możliwości.

Rola nauczyciela ogranicza się teoretycznie do pobudzania samodzielnych poszukiwań. Nie jest przy tym jasne, na czym to pobudzanie ma polegać i praktycznie sprowadza się do kontroli, czy student znalazł "własną drogę", czy też nie udało mu się jej odnaleźć. Przy tym "mistrz" zachowuje z reguły pewne upodobania do rozwiązań, które sam uznaje za najlepsze. Stagnacja jest nieunikniona, bowiem tolerancja i szacunek dla odmiennych upodobań jest wśród artystów czymś wyjątkowym. Dlatego metody Gropiusa były skuteczne tylko wtedy, gdy stosował je osobiście. Artystyczne upodobania mistrza funkcjonują na zasadzie obowiązujących studentów norm. Brak dyskursywnej formy określającej i uzasadniającej wytyczanie artystycznego programu nie zapobiega schematyzmowi i kodyfikacji ocen. Normy i oceny działają z rygorystyczną ostrością. Dla uzyskania dobrych not nie trzeba szukać "własnych dróg". Wystarczy umieć odgadnąć tajemnicę upodobań i wymagań "mistrza". Nie sprzyja to oczywiście stymulowaniu inwencji, a przeciwnie - rutyniarstwu i konserwatyzmowi. Samodzielność myślenia jest fikcją. Stosowana przez "model praktyczny" metoda nie jest niczym odkrywczym ani nowym. Przeciwnie, jest to historycznie najstarsza metoda "prób i błędów" i opiera-

nia się na autorytecie mistrza. W rezultacie osiąganie umiejętności wymaga dużo wysiłku i czasu. Przystwojone sposoby działania są zautomatyzowane i trwałe. Raz opanowane trudno potem przewyciężyć i odrzucić.

Estetyka jako integralna dyscyplina twórczości projektanckiej

Tradycyjny model praktyczny sprzyjał dążeniom do nadania trwałej postaci wzorom uznanym za najlepsze i odpowiadał warunkom przedtechnicznych cywilizacji. Celem nauczania było wyrabianie niekontrolowanych intelektualną refleksją nawyków. Przypuszczenie, iż reaktywowanie wzorów właściwych tradycyjnemu rzemiosłu może przyczynić się do rozwoju inwencji twórczej, jest oczywiście nieporozumieniem. Niemalą rolę odegrał tu autorytet i poglądu Morrisa. Przekonanie, iż rzemiosło, w przeciwieństwie do techniki przemysłowej, stwarza preferencje dla samodzielności poszukiwań, oryginalności i nowatorstwa, pokutuje do dziś w wielu wypowiedziach teoretycznych.

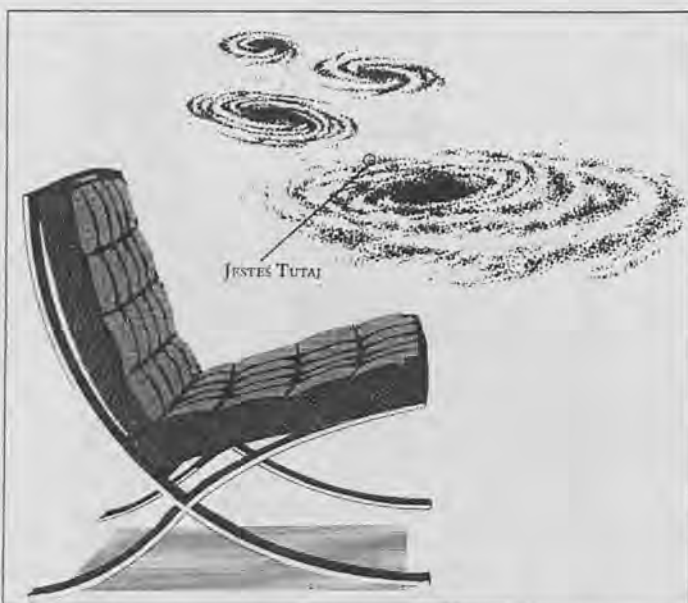
W wielu szkołach do dziś pokutuje karykatura modelu czysto praktycznego. Ważną przyczyną jest fakt, że większość szkół, zwłaszcza wzornictwa przemysłowego, to dawne szkoły **rzemieślnicze**. Swoiście interpretowana teza o samodzielnych poszukiwaniach i wrodzonych zdolnościach ogranicza rolę dydaktyki tylko do kontroli postępów studenta. Takie nauczanie, w przeciwieństwie do autentycznego kształcenia, jest zajęciem łatwym i mało odpowiedzialnym. Dyskusje w gronie nauczających ograniczają się do roztrząsania wciąż tych samych problemów: liberalizm czy rygoryzm w egzekwowaniu wiedzy. Poszukiwania **metody** kształcenia wciąż nie znajdują należytego zainteresowania. Jako uzdrawiający środek postuluje się łączenie pracy dydaktycznej z praktycznym uprawianiem zawodu. Postulat ten nie jest dziś rewelacją, a jego realizacja jest jeszcze trudniejsza niż dawniej.

Renesans teorii

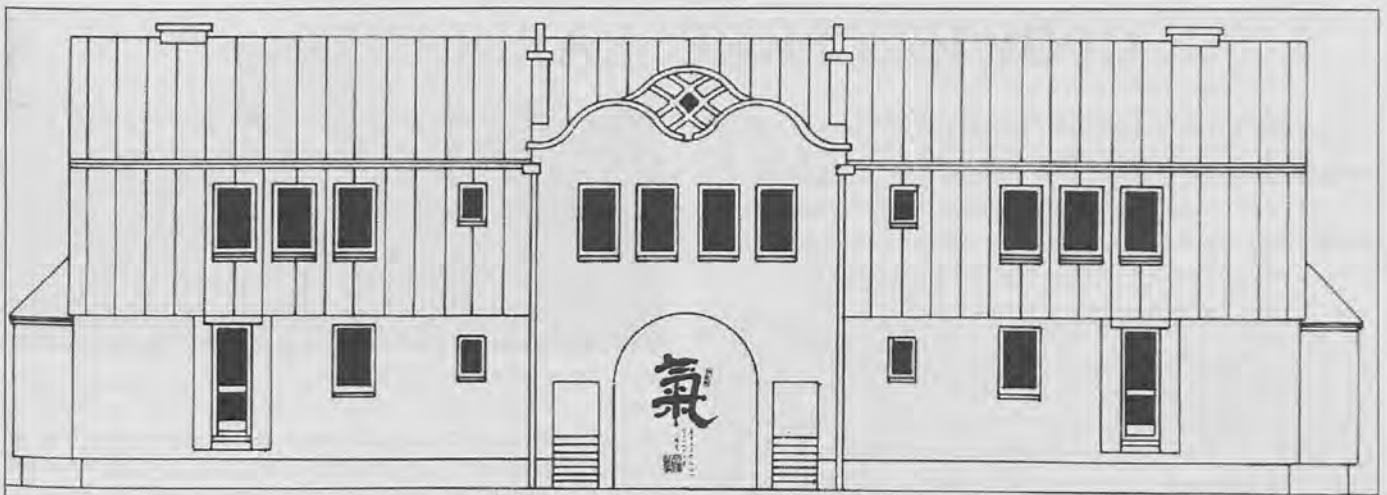
Krytyka modelu czysto praktycznego nie przesądza o wartości modelu zawierającego elementy teorii. Studia nad aktualnymi programami nauczania wskazują raczej coś przeciwnego, świadczą o bezradności w zakresie teoretycznych poszukiwań i pozwalają wysnuć smutny wniosek, że teoria, która byłaby czymś więcej niż balastem erudycji nie służącej twórczej praktyce i nauczaniu, jeszcze nie została opracowana.

Sam termin "teoria" jest bardzo niejasny i wieloznaczny. Przez teorię rozumie się niekiedy abstrakcyjne rozważania uprawiane w dawno minionych czasach. Nie jest to oczywiście ten typ teorii, na który istotnie panuje zapotrzebowanie. Niektórzy nauczający słysząc, że teoria "znowu jest w modzie", wskrzeszają elementy dawno przewyciężonego akademizmu. Inny rodzaj teorii, to poświęcona architekturze publicystyka, która, reprezentując niski poziom metodologiczny, nie zasługuje na miano teorii. Teoria obejmuje wreszcie manifesty i wypowiedzi twórców. Tylko wyjątkowo treścią tych ostatnich bywa rzetelna próba eksplikacji artystycznego programu i refleksja nad własną twórczością. Częściej pomiędzy gloszonymi tezami programowymi a rzeczywistością przestrzeganymi w twórczości postulatami zarysowuje się znaczna rozbieżność. Przykładem może służyć pięć "zasad" le Corbusiera. Dla twórczej praktyki pięć "punktów" ma tylko znaczenie nie obowiązujących tez programowych. Należy więc wyrazić zdziwienie, że w każdej nieomal poświęconej współczesnej architekturze książce mówi się o nich, jako o "zasadach".

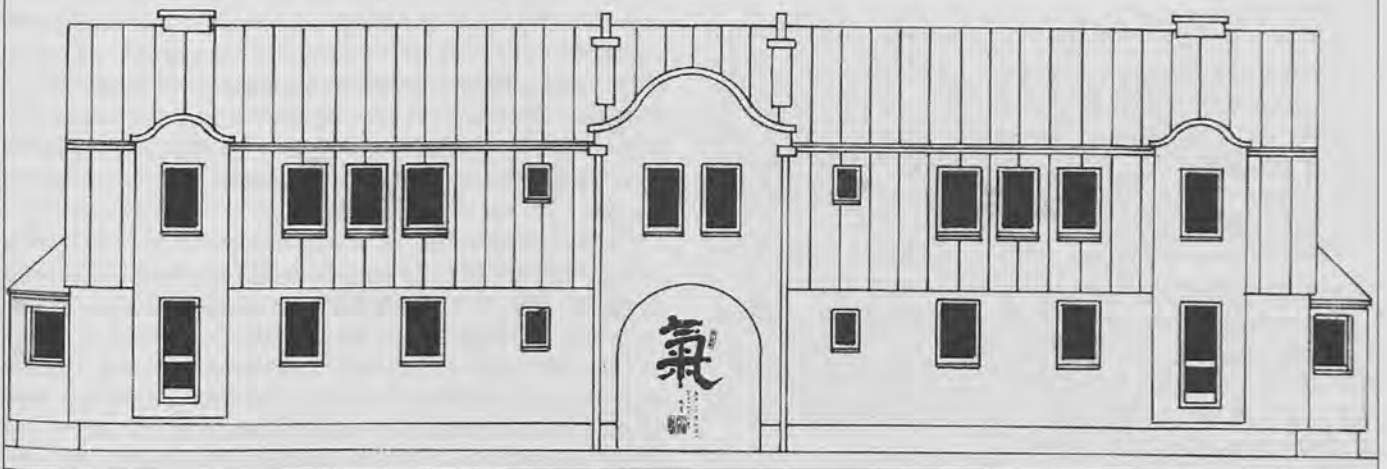
Autorzy dobrze wiedzą, że Pawilon L'Esprit Nouveau z 1925 roku, Kaplica w Ronchamp, Pawilon Philipsa w Brukseli nie



Mędrzec powiada: "Jak nie wiesz gdzie jesteś, nie będziesz wiedział dokąd zmierzasz!" A gdzie Ty jesteś, studencie? Jeśli nie na ziemi i nie na fotelu, to gdzie? (fotel z kolekcji Miesa van den Rohe). Dokąd wobec tego zmierzamy? Zagubieni!



*"Ład i harmonia" w elewacji polskiego domu bierze się z korzeni polskiego "tu i teraz" - czyli polskiego tradycjonalizmu!
Nie mylić z regionalizmem!*



spełniają tych zasad, i zdają się nie dostrzegać, iż pomiędzy **zasadami** a tezami programowymi zachodzi zasadnicza różnica. Merytoryczna analiza pięciu "punktów" i możliwości wynikających z przestrzegania zawartych w nich postulatów jest rzadkością.

Takie uprawianie teorii wyrabia jej tylko złą markę i powoduje, że bardziej wartościowe rozważania teoretyczne, np. Macieja Nowickiego "ulegając zapomnieniu" pozostają niezbrane.

Inny, współczesny sposób uprawiania teorii, to poszukiwanie pewnych ogólnych, obowiązujących twórczość zasad. Trudno znaleźć wspólną nazwę dla tego typu poszukiwań, bo bazują na założeniach wywodzących się z różnych tradycji naukowych i w ślad za tym stosują różnorodną typologię i terminologię.

Pewne podstawowe założenia tych teorii są wspólne i głoszą, że budowa przedmiotów o cechach artystycznych podlega pewnym koniecznym, powszechnym zasadom, niezależnym od tworzywa, procesów funkcjonowania, wytwarzania itp. Wykrycie i skodyfikowanie tych zasad to naczelne zadanie estetycznych teorii. Przekonaniom tym towarzyszy nie zawsze explicite formułowane założenie, iż przedmiotom wyróżniającym się ową szczególną budową przysługują pewne dodatnie wartości estetyczne. Istotnie, wiele wysokiej klasy dzieł malarstwa, rzeźby, obiektów architektury i wytworów wzornictwa przemysłowego przestrzega owych zasad, ale istnieje wiele innych, które ich nie respektują, a którym także przypisuje się wysokie wartości estetyczne. Skoro zasady te, zwane formalnymi, kombinatoryki strukturalnej, morfologicznymi, struktur kompleksowych, syntaktycznymi et cetera (nazwa zależy od kierunku),

występują tylko w niektórych, a nie wszystkich dziełach sztuki, to może być rzeczą wątpliwą, czy wykrywanie tych zasad ma jakieś poważniejsze znaczenie dla sztuki i dla artystycznego kształcenia. Analizy porównawcze pozwalają stwierdzić, że np. dzieła op-artu posiadają bardziej zwartą budowę niż niemal pozbawione spójności twory tasyzmu, Starsza estetyka "psychologii postaci" i "kombinatoryki strukturalnej" potrafi te różnice wykazać i opisać, "nowoczesna i racjonalna, naukowa" estetyka informatywna obliczy je z matematyczną ścisłością. Zabiegi te pozwolą uporządkować kierunki artystyczne, względnie poszczególne dzieła według nasilania się takich cech, jak np. rygoryzm symetrii, stosowanie elementów powtarzalnych itp. Najwyższą dokładnością obiektywnych mierników wykazuje się niewątpliwie estetyka informatywna. Wszakże porządkowanie poszczególnych dzieł sztuki, np. ze względu na rosnący porządek, symetrię, prostotę, jasność itp., dające się oczywiście z dużą dokładnością przeprowadzić, nie pozostaje w żadnej korelacji z narastaniem estetycznych wartości. Tak też twierdzi M. Bense, utrzymując, iż zadaniem estetyki nie jest wartościowanie dzieł sztuki, lecz analiza podobna do stosowanej w naukach przyrodniczych. Nasuwają się więc wątpliwości: czy zarówno niezupełnie ściśle metody gestaltystów, jak i matematyczne, dokładne estetyków informatywnych, odnoszą się do problematyki estetycznej wartości? Cdn.

*Krystyna Pokrzywnicka
Wydział Architektury*

OPOWIEŚCI KREŚLARNIANE (7)

Spośród wielu barwnych, usłyszanych opowieści zapamiętałem niestety tylko kilka, i to w dodatku te mocno skrócone. Najłatwiej przyszło mi teraz odtworzenie własnych. Oto jedna z nich, którą nazywałem "STOLIK Z RÓŻANEGO DRZEWA"

Na wstępie małe wprowadzenie w czas i miejsce wydarzenia.

W czwartym roku wojny gospodarzyłem w majątku Lebidka, położonym na Ziemi Nowogródzkiej. Było to nasze gniazdo rodzinne, nadane memu przodkowi w 1510 roku przez króla Zygmunta I. To moje gospodarzenie nie przynosiło wiele korzyści III Rzeszy, gdyż realizację obowiązkowych dostaw zboża załatwiałem wymieniając u magazyniera samogon i rąbankę na kwit dostawy kontyngentu. I tak gospodarzyłem w dzień, a w nocy nieraz brałem udział w różnych akcjach naszej siatki konspiracyjnej.

Niemcy siedzieli wówczas w miastach, miasteczkach i umocnionych bunkrach, niechętnie zapuszczali się w teren; nigdy nocą. Czas jednak nie był spokojny. Działyły różne uzbrojone grupy: sowiecka partyzantka mordująca Polaków i paląca dwory, czerwona "polska" partyzantka Wandy Wasilewskiej, grupy Żydów zbiegłych z getta i zwyczajni bandyci, a wszyscy stanowili zagrożenie życia mieszkańców.

Najważniejsza była jednak nasza akowska partyzantka, która stopniowo opanowała sytuację i zaprowadziła porządek.

Na naszym terenie oddziały AK należały do VII batalionu 77. pułku piechoty strzelców kowieńskich. Frapowało mnie, skąd się wzięli strzelcy kowieńscy? Otóż przed wojną stacjonował w nieodległej Lidzie pułk o tej nazwie, mający w godle niedźwiedzia. Skąd ten niedźwiedź?

Przeglądając niedawno wspomnienia mego Ojca natrafiłem na odpowiedź na to pytanie. Ojciec mój tworzył w latach 1918-1919 Samoobronę Grodzieńską. Grodno było wówczas pod okupacją niemiecką, a miastem tym chcieli zająć Białorusini, Litwini, a nawet tworzone pułk żydowski. Oczywiście ludność polska nie chciała się z tym pogodzić i powstała wówczas Samoobrona i POW.

Chcąc opanować miasto za poparciem wrogich względem Polaków Niemców i bolszewików, Litwini przysłali do Grodna swoje wojsko. Była też tam jednostka składająca się ze zmobilizowanych na Litwie Polaków.

Oczywiście chcieli oni od razu zdezerterować pojedynczo do Oddziałów Samoobrony, ale Ojciec mój kazał im uzbroić się w cierpliwość i czekać. Pewnej nocy cały ten batalion, stanowiący

500 bagnetów, świetnie umundurowany i wyposażony, przeszedł na stronę polską i pod dowództwem wyznaczonego przez Ojca oficera odmaszerował, z pełnym uzbrojeniem, do dyspozycji stojącego opodal Grodna generała Szeptyckiego; to był właśnie załęczek 77. pułku strzelców kowieńskich, formacji Dywizji Litewsko-Białoruskiej Wojska Polskiego.

Po tym przydługim wprowadzeniu przedstawiam moją przygodę. Był mroźny styczniowy wieczór, gdy łącznik powiadomił mnie, że w sąsiedniej Rohaczowszczyźnie, folwarczku mojej kuzynki Hanki Iwanowskiej, zapadł na kilkudniowy postój nasz oddział partyzancki. Natychmiast poszedłem zameldować się dowódcy, pogadać z przyjaciółmi i przynieść im nieco samogonu.

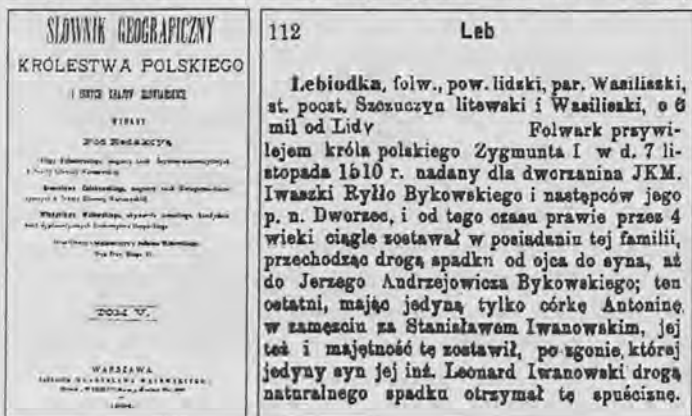
Wsparty na czterech kolumnkach, parterowy, drewniany dworek, tym razem nie był opuszczony. Z komina bił dym i szły iskry, w największym pokoju gorący piec dawał przyjemne ciepło, podłoga była zasłana słomą, siedziało tam bądź leżało z dwudziestu chłopaków. W powietrzu ciemno było od gryzącego dymu machorki, parujących waciaków i kozuchów, pod ścianami stała broń. Pokój słabo oświetlał płomień knotu kopciki, kaganka wypełniona naftą, zrobionego z łuski pocisku przeciwpancernego. Między partyzantami krążyły butelki samogonu i surowa słonina na zagryzkę.

Oddział odpoczywał po udanej akcji, więc też i był dobry nastrój. Tym bardziej, że właśnie dołączył zrzutek - instruktor od spraw minerskich. Patrzyliśmy na niego jak w tęczę, jak na człowieka z innego świata, przybył wszak do nas aż z Anglii. Był to szatyn średniego wzrostu z małym wąsikiem. Siedział przy piecu, na jedynym w pokoju krześle, przed nim stała niepokaźna, drewniana skrzynka z 25 kilogramami trotylu. Ten groźny materiał wybuchowy wyglądał niepozornie: brudnobrązowe kostki przypominające obrzydliwe, będące wówczas w handlu, wojenne mydło.

W kącie pokoju, będącego niegdyś salonem, stał drugi obecnie w tym pokoju mebel - istne cacko - filigranowy stolik z różanego drzewa, który jakimś cudem przetrwał do tego czasu.

Zrzutek przygotowywał oddział do zamierzonej na jutrzejszą noc akcji dywersyjnej. W tym celu wybrano odległe stąd o kilkanaście kilometrów odludne miejsce, gdzie tory, położone na wysokim nasypie, ostro skręcały. Obserwacje ustaliły, że codziennie około północy przejeżdżał tam pociąg, w którego składzie były wagony z żołnierzami jadącymi na front wschodni.

Instruktor zaznajamiał nas ze sztuką minerską i objaśniał zasady instalowanie ładunku wybuchowego. Elementem powodującym zapłon było nader proste urządzenie, składające się ze szklanej fiolki po olejku do ciasta, wypełnionej stężonym kwasem siarkowym. Szyjka fiolki, z braku dobrego koreczka, zawinięta była w kawałek prezerwatywy i następnie umieszczona w łusce naboju karabinowego, wypełnionej mieszaniną cukru i soli Bertholeta. Do łuski podłączony był lont, którego drugi koniec był zaciśnięty w detonatorze - małej metalowej rurce, zamocowanej w otworze w kostce trotylu. Łuskę należało umocować na szynie kolejowej tak, by nadjeżdżające koło ją zdusiło, powodując wyciek kwasu i zapalenie lontu, a ten z kolei miał spowodować eksplozję detonatora i właściwy wybuch. Znając prędkość pociągu na zakręcie i usytuowanie wagonów z żołnierzami, należało dobrać tak długość lontu, by wybuch nastąpił pod właściwymi wagonami. To było bardzo ważne, gdyż - dla



Fragment "Słownika Geograficznego" z 1884 r.
(Leonard Iwanowski - dziadek autora)



Dom w Lebiódce, 1930 r. (Fot. A. Iwanowska)

osłony wagonów z wojskiem i sprzętem - Niemcy dawali na początku pociągu wagony z miejscowymi, cywilnymi pasażerami.

Instruktor podłączył próbnie całą instalację, a myśmy patrzyli na to jak urzeczeni. Wypiliśmy za powodzenie jutrzejszej akcji. Gwar się ożywił, byłem w euforii, że tak długo oczekiwana chwila nareszcie się zbliża. Dotąd wysadzenie pociągu widziałem z miejsca raczej niebezpiecznego, bo z wewnątrz wagonu, pod którym wybuchła mina. Szczęśliwie mój Anioł Stróż dobrze się spisał i przy wybuchu sowieckiej miny pasażerowie sąsiedniego, a nie mojego przedziału, stracili nogi. Ale to już inna, trywialna wówczas, historia.

Wtem ktoś krzyknął ostrzegawczo i zobaczyliśmy czerwoną niteczkę ognia, przesuającą się po lonce do skrzynki z trotylem. Przerazenie sparaliżowało nas na moment, po czym zerwaliśmy się wszyscy i rzucili do drzwi wyjściowych, blokując je skutecznie. Po chwili drzwi do przedpokoju wyleciały z hukiem, to samo stało się z drzwiami na ganeczek. Wyskoczyłem wraz z innymi, chyba miałem najlepszy czas w sprincie, uciekając od źródła nieuchronnego wybuchu. Byle dalej, byle dalej, byle zdążyć się ukryć i osłonić bezbronne plecy. Dopadłem do grubego pnia topoli, dalej była już pusta przestrzeń. Schowałem się za drzewo, niemal się w nie wtopiłem, skurczyłem się, zmrużyłem oczy przed błyskiem oczekiwanego wybuchu. W uszach miałem rozsadzające pulsowanie, a w piersiach walące

jak młot serce. Nie czułem siarczystego mrozu, sekundy wlokły się jak minuty, a minuty jak godziny. Jednak gdy eksplozja nie następowała, powoli zacząłem się rozglądać i lekko prostować. Zobaczyłem za innymi drzewami chłopaków w podobnej sytuacji. Jak długo można wytrzymać, w takim napięciu? Najpierw były nieśmiałe szeptki, potem jakieś speszone uśmiechy, czuliśmy się niewyraźnie. Stchórzyliśmy haniebnie.

Nieśmiało zaczęliśmy wracać; na dworze teraz kąsał nas mróz. Ostrożnie weszliśmy do pokoju i pierwsza rzecz, jaką zobaczyliśmy, to był zgięty w pół zrzutek, zastygły w bezruchu, trzymający się za brzuch. Sądziłem, że własnym ciałem bohaterko zapobiegł wybuchowi i właśnie umiera, Twarz miał czerwoną, nie mógł nawet wydobyć głosu. Lekko tylko skinał głową, patrząc w kąć pokoju. A tam, pod stolikiem z różanego drzewa, dwie głowy kucających chłopaków z zamkniętymi oczami. Dotąd skamienieli, przylepieni do siebie, z wypiętymi na zewnątrz zadkami.

Gdy wybuchła panika, zerwali się z legowiska ostatni, widząc zablokowane drzwi uznali, że jedyną ich osłoną może być ten filigranowy stolik. Zmieścili się pod nim tylko ich głowy.

Instruktor się wyprostował, opanował atak konwulsyjnego śmiechu i wszystko wyjaśnił. Przeciek z nieszczelnie zamkniętego flakonika z kwasem spowodował zapłon mieszaniny i zapalenie się lontu. Gdy to zobaczył, to zareagował. prawidłowo: wyszarpnął tłący się lont z detonatora i pozwolił mu dopalić się spokojnie na podłodze. Znalazł się nowy samogon, wszyscy się odprężyli i w tym zakopconym, zaśmieconym i śmierdzącym pokoju odczuliśmy, jak piękne jest życie.

Szkic tych wspomnień umieściłem w jednym periodyku partyzanckim i zaraz zarzucono mi pisanie nieprawdy. To moja kuzynka Hanka zwróciła mi uwagę, że stolik był nie z różanego drzewa, ale z czereśniowego. No cóż, licentia poetica.

Drugi zarzut postawił mój przyjaciel Modest. Dlaczego ośmieszyłem go, przedstawiając w kucającej pozie pod stolikiem? Wszak stolik dawał jakąś osłonę. A ja nawet nie wiedziałem, że to właśnie on tam siedział.

Kazimierz Iwanowski
Wydział Mechaniczny

Magister (cd.)

ZEBRANIOMANIA

Nie pamiętam, Panie, w ilu zebraniach uczestniczyłem. Zapewne w setkach! Pięć lat zebrań. Zwłaszcza dwa pierwsze lata, kiedy to na siłę formowano wzór studenta socjalistycznej uczelni technicznej: "wysoko wyspecjalizowanego, świadomego fachowca przodującego socjalistycznego przemysłu".

Ktoś siedzący na wysokim szczelbu drabiny partyjno-państwowej, Panie, wpadł na pomysł rozwiązywania problemów studentów drogą zebrań. Zapewne rzucił ten pomysł na zebraniu powołanego do tych spraw kolektywu. Pomysł rozsiano po uczelniach, szkołach, szkółkach, kursach... Niestety, ziarna trafiły na odpowiednią glebę. Zakiełkowały, wyrosły i zaowocowały... zebraniomanią.

Setki godzin przesiedziałem na zebraniach, słuchając gadania, gadania, gadania... gładzenia, bełkotania. Uczestniczyłem w zebraniach: kół, międzykółkowych grup, międzygrupowych sekcji, międzysekcyjnych zespołów, kolektywów, przewodniczących kolektywów... uczestniczyłem w naradach, posiedzeniach, informacjach, pogadankach... Wspólnym mianownikiem

owych zebrań, narad, posiedzeń było: rozliczanie, wytykanie, pouczanie, krytykowanie, uświadamianie nieświadomego, prostowanie skrzywionego, karczowanie zachwaszczonego, utwierdzanie chwiejnego, umacnianie słabego... Litania do wszystkich świętych to pestka. Finał zebrania: sumowanie rozdrobnionego, akceptowanie słusznego, uchwalanie obowiązującego. Oto pojawił się nowotwór złośliwy: narada. Objawy choroby: paraliż indywidualnego systemu podejmowania decyzji.

Zebraniomania wyhodowała też własny język: "Towarzysze! Koledzy! Należy organizować więcej zebrań połączonych z odczytami i pogadankami w sekcjach, i na wydziałach! Należy organizować wyjazdy na wieś w tak zwanych grupach technicznych w celu walki ze stonką i agitacji indywidualnych rolników do tworzenia spółdzielni produkcyjnych! Należy przeprowadzać częściej szkolenia ideologiczne w grupach sekcyjnych! Należy podnosić poziom nauki indywidualnie i w sekcjach! Współpracować w kolektywach roboczych z członkami partii! Podnosić poziom szkolenia wojskowego przez wszech-

stronne konsultacje z przedstawicielami poszczególnych specjalności! Do zarządu wybierać ludzi wyrobionych politycznie! Czytać prasę i prowadzić w grupach uświadamianie ideologiczne! Prowadzić szeroko zakrojoną agitację w sprawach sportu i kultury!..."

Po takiej oracji, Panie, referent wypija łyżeczkę wody, przepłukuje gadaczkę, ożywia skołowany język i... jedzie dalej: "Towarzysze! Koledzy! Należy przeprowadzić staranne przygotowanie polityczne do sesji egzaminacyjnej! Należy wyznaczyć odpowiedzialnych za naukę słabszych kolegów! W grupach przeprowadzić dyskusje nad słabszymi kolegami i przodownikami w nauce!..."

Na tę chorobę nie ma lekarstwa. Zdawałoby się, że można wstać i po prostu powiedzieć: - Przestań głądzić, kolego! Niestety, nawet delikatna krytyka epidemii głądzenia zebraniowego grozi nieobliczalnymi skutkami.

Zwykle siadałem w ostatnim rzędzie i notowałem co ciekawsze nonsensy. Gdy obok siadał kolega Chudy Chlorek - bardzo dobry matematyk - podziwiałem jego artystyczne wyczyny. Kiedy z podwyższenia mównicy na głowy siedzących spływał potok słów, Chudy Chlorek, głęboko zamyślony, na kartce papieru zapisywał swoje artystyczne fascynacje. Zwykle wypisywał jedno wulgarnie słówko, na przykład: gównno albo dupa. Następnie przez cały czas trwania zebrania oprawiał słówko - jak owi średniowieczni skrybowie - kwiatkami, kokardkami, oplatał powojem, ponadto odmieniał na wszystkie możliwe sposoby i języki.

Na moje zaciekawione podglądanie owych "naukowych poszukiwań możliwości słowa" Chudy Chlorek reagował szeptem: - To moja deska ratunku!

Zebraniomania wyhodowała też etatowych "zabieraczy głosu". Po skończonym referacie zwykle ci sami zebraniowcy proszą o głos. Typowy zabieracz głosu manifestuje swój stosunek do wygłoszonego referatu. Popiera, akceptuje, uzupełnia, podkreśla, uwypukla... Dziękuje za uświadomienie mu tego lub owego.

Takim typowym zabieraczem głosu był student, dziś magister inżynier, Muziak. Twarz Muziaka pokrywały czerwone plamy podniecenia. Notował w zeszycie słowa referenta. Przygotowywał swoje wystąpienie. Mówił głośno, prawie krzyczał, gestykulował szeroko, kołował... Nikt nie oponował, bo Muziak walił zwykle z najgrubszej rury. Krzyczał: Partia Nasza! Ojczyzna Ludowa! Towarzysz Bierut!

Muziak jest sobą, mówi to co myśli. Nie potrafi udawać. Brakuje mu okrągłych słówek. Gdy traci grunt pod nogami, uderza pięścią w stół. Jego widzenie świata jest jedynie słuszne. Muziak nie rozumie kawałów, potrafi śmiać się jedynie z klęsk imperialistów. Ciężko pracował, żeby zaliczyć semestr. Nie znosi lekkoduchów, spryciarzy, nie znosi po prostu ludzi, którym wszystko przychodzi łatwo. Muziak przywykł w dzieciństwie do przeciwności. Od dziada - parobka folwarcznego - dowiedział się, że świat zdobyć można jedynie w twardej i upartej walce. Więc walczył na swój sposób.

Na ogół zebrania kończyły się odśpiewaniem:

"Mocne są nasze dłonie

Szlachetne wszystkie nasze są dążenia.

Prawda po naszej stronie

I sława czyni nasze opromienia..."

MAGISTER MENTE CAPTUS

Gdyby ktoś, Panie, otwierając upust fantazji, usiłował ułożyć litanię do bogini Głupoty, ile odmian tej dolegliwości dałoby się wyliczyć? Bodaj już prorok Eklezjastes ujął w słowa myśl, że: "Nieskończona jest liczba głupców".

Nieskończoność to zadanie dla matematyków, fizyków. Głupota to zadanie dla filozofów i psychologów. Nikt dotąd nie ustalił ściśle granic mądrości i głupoty.

Bez pośpiechu - zdanie po zadaniu - przeczytałem "Przypowieści Salomona" i "Księgę Kaznodziei Salomona". Zapamiętałem "skutki głupoty": "Istnieje pewne zło, które widziałem pod słońcem, a jest nim pewien rodzaj pomyłki, która wychodzi od zwierchności, że głupców stawia się na wysokich stanowiskach, a zasobni w mądrość siedzą nisko".

Przecież sam - na własne oczy i uszy - oglądałem i słyszałem głupotę kwitnącą w murach uczelni. Wszystkie odmiany głupoty, Panie, paradujące w uroczystym stroju ważności. Głupotę utytułowaną, posadzoną za biurkami wysokich urzędów, na uczelniach katedrach.

Do koszyka mądrości król Salomon włożył: szczerość, wiedzę, cierpliwość, dobro, sprawiedliwość, roztropność, prawość, rozważę, pracowitość, przeczorność, zdrowy rozsądek, karność, pobożność i to, co ogólnie nazywał światłością. Do koszyka głupoty ów mędrzec włożył: szaleństwo, zło, prostactwo, przewrotność, złośliwość, pyszałkowość, porywczowość, niesprawiedliwość, przekupstwo, wyzysk, lenistwo, bezczynność, bezbożność i to, co ogólnie nazywał ciemnością.

Niestety, w otaczającej mnie rzeczywistości nie ma "czystego" koszyka mądrości. Można dowolnie mieszać głupotę mądrych z mądrością głupich. Tak więc w głowie świeżo upieczonego magistra można doszukać się po trosze wszystkiego, czym żyje współczesny świat: absurdu, nonsensu, groteski, naiwności... Pada więc pytanie: jaką znajomość współczesnego świata prezentuje człowiek z dyplomem magistra? Czy dyplom to tylko zapisany złudzeniami ozdobny arkusik papieru?

Tytułem magistra - wykorzystując odpowiednie układy - może poszczycić się nawet mente captus, to znaczy głupkowaty, słaby na umyśle, ograniczony. Rodzi się następne, wstydlive, pytanie. Ilu też rocznie uczelnie świata wypuszczają takich właśnie magistrów mente captusów? Biorąc pod uwagę kierunek, w jakim zmierza cywilizacja XX wieku, liczba uczonych mente captusów jest niemała.

Zastanawiam się często, Panie, ile ziarna głupoty rozsiano w mojej głowie, ile z tego zakielkuje, zakwitnie, zaowocuje? Już tysiące lat temu ludzie mądrzy spostrzegli, że na głupotę nie ma lekarstwa. Współczesna nauka wie również, że na głupotę nie ma środków głupotobójczych.

Być może, Panie, ktoś słuchający moich wywodów pomyślałby w skrytości ducha: oto idzie świeżo upieczony magister mente captus. Cdn.

Edward Kaczmarek
Absolwent Politechniki Gdańskiej



MIGAWKI Z DAWNIEJSZYCH LAT (cd.)

POLITECHNIKA KOŁO "CZERWONEGO KRZYŻA"



"Czerwony Krzyż" w domach Grunwaldzka 2, 4, 6
(lato 1945 r.)

Pierwszy mój przejazd tramwajem z Oliwy (w 1945 r. mieszkałem przy Grotgера 43) na pocztę w centrum Wrzeszcza wypadł dnia 28 września 1945 r. W tym okresie była to cała eskapada. Do tramwaju wsiadłem na obecnym pl. Inwalidów, koło głównego wejścia do parku. Zespół wagonów tramwajowych, wyruszających od starej zajezdni (róg Grunwaldzkiej i Pomorskiej), przyjechał jednotorową linią, biegnącą ulicą Opata Rybińskiego. Wagony kursowały ruchem wahadłowym po torze prowadzącym w stronę Gdańska. Zestaw był złożony z dwu wozów silnikowych i jednego przyczepnego między nimi. Na krańcowych przystankach przyczepę sprzęgano z tym wozem silnikowym, który po zmianie kierunku jazdy miał ją ciągnąć. W każdym wagonie jechał konduktor, który pobierał opłatę, dawał sygnał do odjazdu i zapowiadał nazwę przystanku. Jako dowód uiszczenia opłaty wydawał poniemiecki bilet "Verkehrsbetriebe Danzig Gotenhafen", początkowo pozbawiony oznaczenia jego ceny w naszej walucie.

Tramwaj stawał na dawnych przystankach, znajdujących się często w tych samych miejscach, co obecne. Niemieckie tabliczki z nazwami ulic były usunięte, a polskich jeszcze nie było. Określenie przystanku wynikało zatem dość często z istnienia w pobliżu jakiegoś charakterystycznego obiektu. Przy obecnym pl. Inwalidów, w niewielkim budynku, mającym wiatę (obecnie rozebrana), działała gospoda "U Kachla", co dało nazwę przystanku. Obecna ul. Wita Stwosza nazywała się wtedy al. Sprzymierzonych. Niedaleko od przystanku "Derdowskiego", koło wylotu ul. Orkana, tramwaj zatrzymywał się na "Zaciszu". Potem docierał do "Bażyńskiego", następnie "Polanki" (koło obecnej stołówki Uniwersytetu) i kończył bieg przy wysadzonym wiadukcie kolejowym, na wysokości ul. Drożyny

Po przejściu pod zwaloną konstrukcją wsiadało się do następnego zestawu o analogicznym składzie, który także kursował torem do Gdańska. Obecna ul. Zamenhofska nazywała się wtedy "Potokowa", zaś następny przystanek był określany jako "Wojska Polskiego". Na Grunwaldzkiej, na wysokości ul. Syrokomli, pojazd stawał przed główną bramą, prowadzącą na teren koszar. Następny przystanek był nazywany "Gospoda Wilnianka", bo ten obiekt istniał przy wylocie ul. Słowackiego. Następnie tramwaj zatrzymywał się na rogu Jesionowej, potem u wylotu ul. Klonowej, a bieg kończył na centralnym placu Wrzeszcza, u zbiegu kilku ulic. Nazwa "Jaśkowa Dolina" prze-

platała się z "Partyzantów". Na tym placu odbywało się przesiadanie do dalszego zestawu trójwagowego, jadącego także po torze do Gdańska. Pierwszy przystanek znajdował się przy wylocie ul. Sobótki i był nazywany "Pod Jedynką", bo w narożnym domu Grunwaldzka 62 działała restauracja o takiej nazwie. Kolejny postój wypadł przy ulicy Morskiej (teraz "Do Studzienki"), a do Politechniki wysiadało się dalej, bo przy "Czerwonym Krzyżu". W domach Grunwaldzka 2-6 działała ta właśnie instytucja. Nie opłacało się jazdy kontynuować, bo następny przystanek znajdował się przy obecnej operze, która wówczas była jeszcze halą sportową "Polonia".

Przejazd taką trasą zabierał dużo czasu, bowiem na kolejnych przesiadkach nieraz trzeba było czekać na nadciągnięcie następnego zestawu. Nic więc dziwnego, że po zajęciach na uczelni zwykle pieszo wędrowałem do centrum Wrzeszcza. Normalny ruch tramwajowy po obu torach został przywrócony chyba w początkach grudnia 1945, kiedy usunięto zwalony wiadukt kolejowy. Wcześniejsze próby, podczas których usiłowano wywlec złom przez ciągniecie za pomocą czołgu, nie dały rezultatu. Skuteczne okazało się dopiero cięcie złomu na mniejsze kawały, za pomocą palnika acetylenowego. W okresie przejściowym byłem świadkiem dwu zabawnych wydarzeń.

Z centrum Wrzeszcza wyrusza przeładowany zestaw tramwajowy, jadący w stronę zwalonego mostu. Ktoś stoi na sprzęgu międzywagowym, na każdym stopniu wejściowym czepiają się dwie lub trzy osoby. Konduktor kończy sprzedawanie biletów pasażerom stojącym przy tylnym wejściu do wagonu silnikowego: "Proszę za bilety! Kto jeszcze nie zapłacił?" Uczepiona na stopniu trzydziestolatka, krótko przed zatrzymaniem się wagonu na przystanku, woła głośno: "Zapłacę jak się puszcze!" - i tu salwa śmiechu w wagonie.

Jesienią, ale tylko na parę dni, przesiadka z centrum Wrzeszcza została przesunięta na ten odcinek Grunwaldzkiej, który leży między wylotem ul. Szymanowskiego a skrzyżowaniem w Al. Wojska Polskiego. Pora wieczorna, oświetlenia ulic praktycznie nie ma; jedynie żarówki świecące w wagonach dają na zewnątrz nieco poświaty. Skład od strony Gdańska zatrzymał się tuż za zestawem jadącym do Oliwy. Jakaś kobiecina zapytuje konduktora: "Ten tramwaj to na Oliwę?" - "Nie, proszę pani, na prąd!"

Tak wyglądały pierwsze moje kontakty z gdańskimi tramwajami, które pozostawiły mi podziw dla ich działalności. W ciągu kilku zaledwie miesięcy odbudowano zasadniczą część dawnych tras. Już latem 1946 mogłem na plażę pojechać z Oliwy do Jelitkowa linią "4" lub z Wrzeszcza do Brzeźna i Nowego Portu linią "5". Wybrałem się także do Oruni, dokąd docierała "6", wyruszająca od Bramy Wyżynnej.



Bilet tramwajowy z października 1945 roku



Wysadzony wiadukt koło "Zajezdni Wrzeszcz"; widok od strony Oliwy (lato 1945 r.)



Przystanek przesiadkowy w centrum Wrzeszcza (lato 1945 r.)

Dzięki znajomościom kolegi Heńka Trzemzańskiego, na praktykę po I roku studiów trafiłem do "Tramwajów i Autobusów" w Bydgoszczy, gdzie zatrudniono mnie na okres od 12.08 do 11.09.1946. Zachowałem w pamięci niezwykle życzliwe traktowanie, bo pod nadzorem instruktora parę razy prowadziłem wagon roboczy po mieście. Pewnego razu, też w jego obecności, prowadziłem normalny skład pasażerski na znacznym odcinku linii "B".

Po powrocie do Gdańska moje zainteresowanie tramwajami mocno wzrosło, skoro po wysłuchaniu w VI semestrze 1947/48 przedmiotu "Prostowniki" w następnym semestrze zacząłem ochotniczo uczęszczać na wykłady ówczesnego adiunkta Mieczysława Rodkiewicza, pod tytułem "Trakcja elektryczna". Z całego grona słuchaczy byłem jedynym, który miał komplet notatek. Nic więc dziwnego, że poszły one w obieg i nigdy nie wróciły.

Tutaj należy wspomnieć niezbyt subtelny dowcip, jaki urządziliśmy inż. Mieczysławowi Rodkiewiczowi (późniejszemu

profesorowi) pod koniec semestru VI w roku 1947/48. Wykłady z przedmiotu "Prostowniki" prowadził on w sali "152" na wysokim parterze Gmachu Głównego, która już była odbudowana z wojennego pożaru. W tej to sali, po niezbędnej przebudowie, mieści się obecnie "Klub PG". Katedra i tablica znajdowały się w tym miejscu, gdzie dziś jest lada bufetowa. Podczas przerwy między obiema godzinami wykładu adiunkt Rodkiewicz poszedł do Gmachu Elektrycznego, a teczkę pozostawił na katedrze. Stojąca teczka przewróciła się i z wnętrza wysypały się cukierki w papierkach. Koledzy z pierwszych rzędów ruszyli, by się nimi poczęstować, i rozdrapali wszystko, zanim ja z ostatniego rzędu dobiegłem. Puste papierki rzucali koło ogryzków kredy, których wiele leżało w korytku pod tablicą. Nasunęło mi to pomysł, by w te papierki zawinąć resztki kredy i takie "cukierki" umieścić w teczce. Żadne reperkusje tego psikusa nie są mi znane.

Jerzy Sawicki

Wydział Elektrotechniki i Automatyki

TRÓJMIEJSKI PARK KRAJOBRAZOWY



Położenie Trójmiejskiego Parku Krajobrazowego i jego otuliny

Żywiolowy rozwój przemysłu, motoryzacji, wprowadzenie chemizacji upraw, trwający przez wieki proces wylesiania na dużych obszarach, powstanie wielkich aglomeracji miejskich odcisnęło głębokie piętno na środowisku przyrodniczym. Wyginęło wiele gatunków flory i fauny, a szereg dalszych zagrożony jest wymarciem - świadczą o tym chociażby "czerwone księgi" roślin i zwierząt. Zniszczeniu lub zniekształceniu uległo wiele ekosystemów. Dopiero w II połowie XX wieku zdano sobie sprawę, że dotychczasowy rozwój cywilizacji, wpływając destrukcyjnie na przyrodę, musi w końcu doprowadzić do wyraźnego pogorszenia, a nawet zagrożenia egzystencji społeczeństw ludzi. Dlatego ochrona przyrody stała się tożsama z ochroną człowieka: "Chroniąc przyrodę - chronimy siebie".

Ochronę cennych fragmentów środowiska naturalnego można realizować poprzez tworzenie obiektów chronionych: rezerwatów przyrody, parków narodowych i krajobrazowych, obszarów chronionego krajobrazu, zespołów przyrodniczo-krajobrazowych, stanowisk dokumentacyjnych przyrody nieożywionej i użytków ekologicznych. Natomiast dla ratowania pojedynczych starych drzew oraz alei, głazów narzutowych, form geologicznych itp. wprowadzono ochronę pomnikową przyrody. W byłym województwie gdańskim utworzono 4 parki

OKRES	SKŁADNIKI GŁÓWNE DRZEWOSTANÓW	SKŁADNIKI DOMIESZKOWE	UWAGI
Preborealny ok. 10 tys. lat temu (górny paleolit)	brzoza i sosna	wierzba, topola osika; leszczyna i dąb - w rejonach cieplejszych	Powstanie tundry po ustąpieniu lądolodu
Borealny 8500-7000 lat temu (mezolit)	sosna, leszczyna	dąb, wiąz, jesion; w górach świerk	Znaczne ocieplenie, klimat suchy, długie ciepłe lata - stepowanie; pojawienie się roślin kserotermicznych i konty- nentalnych
Atlantycki 7000-4500 lat temu (początek neolitu)	buk ¹ , jodła, świerk ²	olsza, leszczyna; sosna - na glebach piaszczystych	Początkowo klimat ciepły, wilgotny; później bardziej suchy i chłodny. Ingerencja człowieka w środowisko leśne
Subborealny 4500-2800 lat temu (schyłek neolitu, pocz. epoki brązu)	buk, jodła, świerk	dąb, lipa, wiąz, jesion, grab	Obniżenie się średniej rocznej temperatury, zwiększenie opadów. Eksploatacja lasów
Subatlantycki 2800 lat temu do cza- sów współczesnych (okres historyczny)	początkowo buk i jodła, później świerk i sosna	dąb, brzoza, osika; leszczyna - w rejo- nach cieplejszych; olsza - w rejonach wilgotnych	Wylesienie znacznych powierzchni, stopniowy zanik lasów naturalnych. Tworzenie monokultury sosny i świerka w uprawach

1) Występowanie buka na Pomorzu datuje się dopiero od ok. VII w. p.n.e., tj. okresu przejścia z epoki brązu do epoki żelaza.

2) Występowanie jodły i świerka na Pomorzu datuje się od ok. XVIII-XIX w., kiedy to wymienione gatunki zostały wprowadzone przez człowieka do upraw.

krajobrazowe: Nadmorski, Trójmiejski, Kaszubski oraz Wdzydzki. Po reorganizacji administracji państwowej w 1999 r. i powstaniu woj. pomorskiego, w nowych granicach znalazły się też niektóre parki dawnych województw - elbląskiego, słupskiego i bydgoskiego, m.in. Park Krajobrazowy Mierzei Wiślanej, Park Krajobrazowy Doliny Słupi, Słowiński Park Narodowy oraz Zaborski Park Krajobrazowy, stanowiący otulinę drugiego w naszym regionie parku narodowego - "Bory Tucholskie".

Ze względu na bliskie położenie w stosunku do aglomeracji trójmiejskiej, najbardziej narażony na antropopresję jest **TRÓJMIEJSKI PARK KRAJOBRAZOWY**. Utworzony został uchwałą Wojewódzkiej Rady Narodowej w Gdańsku z dnia 3 maja 1979 roku. Twórcami tego obiektu, o sumarycznej powierzchni 20,3 tys. ha, przyświecała idea aktywnej ochrony i kształtowania środowiska, z zachowaniem jego funkcji naukowo-dydaktycznych oraz turystyczno-rekreacyjnych. W granicach Parku znalazł się kompleks lasów oliwsko-wejherowskich, zajmujących strefę krawędziową oraz część wierzchowińny wysoczyzny Pojezierza Kaszubskiego pomiędzy Gdańskiem a Wejherowem. W okolicy Wielkiego i Małego Kacka zwarta miejska zabudowa dzieli obszar Parku na dwie części: północną i południową, zwaną od dawna Lasami Oliwskimi.

Obszar Parku słynie z unikatowej rzeźby, z szeregiem rozcięć erozyjnych w typie tzw. *bad landu*, powstałej u schyłku ostatniej epoki lodowej. Badania wykazały, że lądolód Skandynawski kilkakrotnie docierał do Polski, a następnie wycofywał się w okresach ocieplenia - w interglacjalach. Każdorazowo wody z topniejących lodowców akumulowały grube, wielometrowe warstwy, składające się przede wszystkim z zalegających uprzednio w lodzie żwirów i piasków; warstwy te, to głównie tzw. morena denna oraz czołowa (występująca m.in. koło Chwaszczyna) i boczna. Następnym wielokrotnego osadzania warstw żwirów i piasków, a także gliny zwałowej, jest powstanie wyniosłości, która w rejonie Gdańska wznosi się od ok. 40 do 160 m n.p.m. - nazywana jest ona niekiedy Wysoczyzną Gdańską. Płynące pod lodowcami rzeki osadzały materiał skalny wzdłuż swego biegu, tworząc długie nasypy - ozy. Formami polodowcowymi są także wąskie, podłużne obniżenia terenu - rynny i jeziora rynnowe (np. Jezioro Wysockie), oraz nieckowate wytopiska po bryłach martwego lodu, współcześnie zajęte przez oczka wodne oraz torfowiska przejściowe i wysokie.

Ostatnie wymienione obiekty napotkamy m.in. pomiędzy Osową a Taszą.

Wśród polodowcowych pozostałości trafiają się skalne bloki pochodzące ze Skandynawii, tzw. głazy narzutowe. Większość z nich to skały magmowe - głębinowe (czerwone granity i gnejsy) i wylewne (melafiry i bazalty). Skały osadowe zawierają niekiedy fosylia, np. w wapieniach krynowidowych występują skamieniałe trochity, czyli członki „lodyg” liliowców (*Crinoidae*), należących do szkarłupni osiadłych; wapienie tego typu napotkano w kopalni żwiru w rejonie Chwaszczyna. Głazy stanowią miejsca egzystencji (podłoża) dla wielu organizmów epilitycznych (naskalnych), w szczególności porostów podlegających ochronie prawnej; są to m.in.: rzadki gatunek chróścika, tarczownica skalna, żeluczki - isidiowa, czyli pospolita, i Mougeota i in. Niektóre głazy wpisano na listę pomników przyrody nieożywionej, a pozostałe o obwodzie większym od 3 m są obiektami chronionymi.

U schyłku epoki lodowej, ok. 10-12 tys. lat temu, ogromne masy wody z topniejących lodowców, następnie wody opadowe spływając w kierunku morza z Wysoczyzny Gdańskiej utworzyły w jej strefie krawędziowej szereg dolin erozyjnych różnej wielkości. Należą do nich, licząc od południa: Dolina Strzyży, Dolina Kocięgo Rowu, Samborowo i Zielona Dolina, zespół dolinny - Dolina Radości, Dolina Czystej Wody, Dolina Świeżej



Widok z Zamkowej Góry - rezerwat Gałęźna Góra
kolo Wejherowa

Wody (Dolina Ewy), Dolina Świemirowska, Gołębiwska, Brodwin, Dolina Kaczej, Dolina Pieleszewska i Zagórskiej Strugi i in.

Ocieplenie się klimatu po definitywnym ustąpieniu lądolodu doprowadziło do powstania na obszarze dzisiejszego Pomorza tundry z dominacją naziemnych mchów i porostów. Pierwszymi roślinami drzewiastymi były karłowate brzozy i wierzby. Další wzrost temperatury spowodował ekspansję brzozy brodawkowatej oraz gatunku *Betula tortuosa*, znanego obecnie ze Skandynawii. Kolejnymi gatunkami, zasiedlającymi wspomniany obszar, były: sosna pospolita, dęby - szypułkowy i bezszypułkowy, następnie buk pospolity i grab (patrz: tabela).

W miarę rozwoju roślinności następowała migracja zwierząt z rejonów wolnych od zlodowacenia. Część gatunków arktycznych i borealnych flory i fauny, pomimo niekorzystnych dla siebie warunków, powstałych wskutek znacznego ocieplenia klimatu Pomorza, przetrwała na specyficznych siedliskach do dziś, stanowiąc relikty z epoki lodowej. Należą do nich: zimziół północny, skalnica torfowiskowa (stanowisko m.in. koło jez. Polgoszcz - Wdzydzki Park Krajobrazowy), bagno zwyczajne, bażyna czarna, malina moroszka oraz, występująca tylko na jednym pomorskim stanowisku w pobliżu Chelмна, brzoza karłowata i inne.

Od neolitu datuje się ingerencja człowieka w leśne środowisko Pomorza, polegająca pierwotnie na wycinaniu lub wypalaniu drzewostanów i przekształcaniu lasów w pastwiska lub pola uprawne, następnie na prowadzeniu upraw leśnych. Działalność ta doprowadziła, niestety, do znacznego wylesienia i zubożenia tego obszaru - zanikło wiele gatunków roślin, grzybów i zwierząt, występujących w leśnych ekosystemach.

*

Przemierzając Trójmiejski Park Krajobrazowy napotkamy przede wszystkim lasy bukowe, lasy dębowo-bukowe i grabowo-dębowe, lasy sosnowo-dębowe z domieszką buka oraz łągi jesionowo-olszowe. Tutejsze drzewostany budują także brzozy - brodawkowata i omszona, bardzo rzadko lipa drobnolistna, a także gatunki sadzone: świerk pospolity, modrzew europejski, rzadko klon jawor i jodła pospolita. Można napotkać także szereg taksonów egzotycznych, introdukowanych z innych kontynentów, jak: sosna wejmutka i sosna Banksa, jedlica (daglezja) zielona, świerk biały, choina kanadyjska, modrzew ja-

poński, żywotnik olbrzymi, cyprysik Lawsona, dąb czerwony, robinia biała (tzw. akacja), klon jesionolistny i inne.

Wymieniona powyżej flora drzewiasta rodzimego pochodzenia najczęściej wchodzi w skład pięciu najbardziej pospolitych w Parku zespołów leśnych; są nimi:

- kwaśna buczyna niżowa,
- żyzna buczyna niżowa (żyzna buczyna pomorska),
- kwaśna dąbrowa (las bukowo-dębowy),
- grąd gwiazdnicowy (subatlantycki nizinny las dębowo-grabowy),
- łąg jesionowo-olszowy.

Nie są to klasyczne zespoły, lecz tzw. postacie zdegenerowane - głównie wskutek wprowadzenia na siedliska lasów liściastych gatunków iglastych, obcych dla rejonu Gdańska, a nawet Polski: sosny pospolitej, świerka, modrzewi oraz daglezji zielonej i in.

Ogółem w TPK dotychczas opisano 89 gatunków drzew i krzewów rodzimego lub obcego pochodzenia, z których część - te bardziej dorodne - wpisano na listę pomników przyrody.

Na koniec warto wymienić niektóre gatunki flory, mikro- i lichenoflory, które znalazły się pod ochroną (ścisłą lub częściową). Wśród drzew i krzewów na liście gatunków chronionych znalazły się: wawrzynek wilczełyko, bluszcz pospolity, rokitnik zwyczajny, jarząb szwedzki, cis pospolity, wiciokrzew pomorski i inne (łącznie 14 taksonów).

Chronione rośliny zielne reprezentowane są przez 44 taksony: tojad dzióbaty, podrzeń żebrowiec (paproć o zasięgu cyrkumborealno-oceanicznym), stoplamek zaniedbany (gatunek atlantycki storczyka, znany w Polsce jedynie z 3 stanowisk w rejonie Kartuz oraz jednego historycznego w Oliwie - 1992 r.), stoplamek szerokolistny i krwisty, kruszczyk szerokolistny, podkolan biały i zielonawy, gnieźnik leśny, listera jajorowata, wielosił błękitny (relikt glacialny), kosaciec syberyjski, pełnik europejski, pierwiosnek lekarski i inne.

W Parku napotkano szereg taksonów zaliczanych do flory górsko-podgórskiej; należą do nich: wymieniony powyżej tojad dzióbaty oraz tworząca własne zbiorowisko (szuwar) manna gajowa, przetacznik górski, tojeść gajowa, bardzo rzadki na niżu żebrowiec górski, kozłek bzowy, widłak wroniec (chr.), nercznica szerokolistna, kokoryczka okółkowa, bez koralowy, olsza szara, klon jawor i inne. W niektórych bystrzych i czystych



Pomnikowy buk
na Kalwarii Wejherowskiej

Jaszczurka
żyworodna



Orszol
prążkowany
- gatunek
górsko-
podgórski,
na
kwitnącym
jasieńcu -
otulina TPK



Gnieźnik leśny - bezzieleńowy
storczyk - Zielona Dolina

potokach, np. w Zagórskiej Strudze, egzystuje krasnorost hildenbrandia - gatunek typowy dla obszarów górskich, reprezentujący tzw. rośliny niższe.

Do gatunków rzadkich, interesujących, ale nie podlegających ochronie, należą dwie paprocie: nasięźrzal pospolity i paprotnica krucha oraz trawa - wiechlina odległokłosa.

Spośród 22 krajowych ściśle chronionych gatunków grzybów makroskopowych (wielkoowocnikowych), w TPK napotkano dotychczas 10. Należą do nich: bardzo rzadka soplówka jeżowata, purchawica olbrzymia, flagowiec olbrzymi, smardz jadalny, mądziaak psi, sromotnik bezwstydy, żagiew okółkowa, szmaciak gałęzisty, szyszkowiec łuskowaty i podgrzybek pasożytniczy. Wszystkie pozostałe gatunki, także jadalne, znajdują się pod ochroną częściową; podczas badań terenowych, w samej dolinie Samborowo oznaczono 152 gatunki grzybów makroskopowych, co stanowi w przybliżeniu 70% napotkanych tam taksonów. Do rzadkich grzybów należą: czarka szkarłatna, gwiazdosze - frędzelkowaty i rudawy, borowiec dęty, nicniczka pasożytnicza, podgrzybek czerwony, gałęziak groniasty i in.

Porosty, czyli grzyby lichenizowane, reprezentowane są w TPK przez 48 gatunków ściśle chronionych i jeden gatunek pod ochroną częściową (płucnica islandzka). Większość gatunków porostów "krzaczkowatych" - szczególnie wrażliwych na zanieczyszczenia powietrza, jak przykładowo włostki i brodaczki, w miejscach graniczących z terenami zurbanizowanymi, zwłaszcza w Lasach Oliwskich, już wymarła; dlatego znalezione w Samborowie pojedyncze stanowiska tych organizmów: brodaczki kędzierzawej i włostki brązowej, uznawane są za szczególnie cenne (wiosna 1996 i jesień 1998 r.).

Fauna Parku, pomimo bliskiego sąsiedztwa Trójmiasta, jest bogata i dość zróżnicowana. Ornitolodzy zaobserwowali prawie 150 gatunków ptaków, w tym: bociana czarnego, dzięcioła czarnego, kruka, bielika, jastrzębia, myszolowy - pospolitego i włochatego, sowę włochatą, żurawia, grubodzioba, orzechówkę, pluszcza i pliszkę górską. Częste są sójki, kosy i drozdy śpiewaki, sikory bogatki, strzyżyki i inne gatunki. Park zamieszkuje dość liczne gatunki ssaków: jelenie i samy, dziki, borsuki, lisy, jenoty, łasice, tchórze, kuny - domowa i leśna, zające, dzikie króliki, wiewiórki, jeże i krety, okresowo także łosie. Występują też drobne ssaki owadożerne, gryzonie i nietoperze. Gady reprezentowane są przez jaszczurkę zwinkę i jaszczurkę żyworodną (żyworódkę); rzadszy jest padalec, zaskroniec oraz żmija zygzakowata (także odmiana o ubarwieniu czarnym - forma melanistyczna, u której charakterystyczny zygzak jest prawie niewidoczny). Płazy to traszki, żaby i ropuchy. Stawy, jeziora, oczka wodne są biotopami pospolitej żaby wodnej, zaś z dala od akwenów egzystują taksony chronione: żaba trawna i ropuchy - szara oraz paskówka, które na okres rozrodu powracają do zbiorników z wodą. Dość liczne są potoki o charakterze podgórskim, zasiedlone kiedyś licznie przez łosie, trocie, lipienie oraz pstragi - tęczowe i strumieniowe. Bardzo ciekawa jest fauna pajęczaków, reprezentowana np. przez rzadkiego kołosa wielobarwnego i kilka gatunków krzyżaków, oraz fauna owadów; szczególnie zachwycają motyle: paż królowej (chr.) i mieniak tęczowiec (chr.), liczne modraszki, rusalki i niedźwiedziówki. Z interesujących chrząszczy należy wymienić biegacze (fioletowego, pomarszczonego, skórzastego, gajowego - wszystkie pod ochroną), kruszczycę złotawką, orszoła prążkowanego, liczne kózkowate, a wśród nich dylaża garbarza, pętłaka pstrokatę, zmorsznika czerwonego oraz zgrzytnicę i kózkę *Stenurella melanura*. W rozkładających się grzybach i odchodach ssaków można napotkać koprofilne żuki z rodzaju *Geotrupes*, o pięknym niebiesko-metalicznym połysku. Obec-



Las Oliwski - jesień

nie trwają w Dolinie Radości badania nad entomofauną, obejmujące bzygowate i ochotkowate; wstępny ich wykaz zawiera kilka gatunków rzadkich, a nawet unikatowych. Ciekawostką jest ślimak ostrokrawędzisty, który zasiedla obszar przymorski oraz pas wyżyn (Jura Krakowsko-Wieluńska) wraz z terenami położonymi w górach (Sudety); wymienione obszary rozdziela szeroka dysjunkcja, obejmująca Wielkopolskę i południowe Pomorze.

Na obszarze parku utworzono dotychczas następujące rezerwy przyrody: "Źródlika w Dolinie Ewy", "Zajęcie Wzgórze", "Kacze Łęgi", "Cisowa", "Lewice" i "Gałęzna Góra", a w opracowaniu znajduje się kilka kolejnych, m.in. "Lasy w Dolinie Strzyży", "Łąka w Dolinie Radości", "Wąwóz Huzarów", "Łęg nad Sweliną", "Kocie Bagno" oraz "Jeziora Pałznik i Wygoda".

Aby zachować walory przyrodnicze parku, niezbędne jest przestrzeganie na jego terenie i w strefie ochronnej (otulinie) następujących ogólnych przepisów:

- nie należy lokalizować uciążliwych inwestycji powodujących zanieczyszczenie wody, gleby, powietrza, np. megahurtowni i hipermarketów, oraz zakłócających dotychczasowe stosunki wodne na tym obszarze, np. budowli wodnych i urządzeń hydrotechnicznych, zaś wszelkie prace melioracyjne powinny być uzgadniane z Wojewódzkim Konserwatorem Przyrody,
- nie należy lokalizować kopalnictwa podziemnego odkrywkowego itp.,
- należy ograniczyć budowę dróg o znaczeniu ponadlokalnym oraz rurociągów i energetycznych linii napowietrznych, zwłaszcza rozcinających zwarte kompleksy leśne,
- pobytowe formy turystyki i rekreacji (poła namiotowe, parkingi itp.) należy ograniczyć do obszarów otuliny parku,
- należy dostosować zasady i czynności techniczno-leśne do ochronnych funkcji lasów,
- w budownictwie należy stosować właściwy dobór form architektonicznych, zharmonizowanych z krajobrazem i nawiązujących do tzw. stylu regionalnego,
- należy maksymalnie ograniczyć stosowanie środków chemicznych.

Szczegóły dotyczące ochrony parków woj. gdańskiego zostały zawarte w Rozporządzeniu Nr 11/98 z dnia 3 września 1998 r., opublikowanym w Dzienniku Urzędowym Woj. Gdańskiego.

Prowadzone obecnie przez Katedrę Ekologii Roślin i Ochrony Przyrody Uniwersytetu Gdańskiego prace w ramach grantu,

mają na celu sporządzenie pełnej listy gatunków flory, miko- i lichenoflory występujących w regionie gdańskim, w szczególności na obszarze TPK. Spośród nich zostaną wytypowane gatunki rzadkie, wymierające i zagrożone wymarciem, które znajdują się na tworzonej lokalnej "czerwonej liście" obejmującej wymienione organizmy.

W maju br. mija **20. rocznica utworzenia TPK**, stąd wydało mi się celowe zamieszczenie na łamach PISMA PG powyższego artykułu, aby spopularyzować wśród pracowników naszej uczelni walory przyrodnicze Parku. Zaprezentowany materiał pochodzi głównie z przewodnika, którego jestem współautorem: Wilga M.S., Buliński M., Fałtynowicz W. 1998. *Ścieżki przyrodniczo-dydaktyczne w Trójmiejskim Parku Krajobrazowym I, dolina Samborowo*. Wyd. Gdańskie, Gdańsk. W książce zamieszczono m.in. wstępny wykaz parkowej dendroflory oraz chronionych gatunków flory, miko- i lichenoflory. Niestety,

wyłącznym jej dystrybutorem jest Zarząd Parków Krajobrazowych w Gdańsku i dlatego nie jest ogólnie dostępna. Wydawnictwo Gdańskie planuje wydanie w połowie roku części II przewodnika, omawiającej m.in. nieco szerszą faunę Doliny Radości i sąsiednich okolic. Jest to prezent dla miłośników przyrody, w szczególności Lasów Oliwskich, z okazji rocznicy powstania TPK; prawdopodobnie książka znajdzie się w wolnej sprzedaży. W imieniu autorów (oprócz osób wymienionych powyżej, w redagowaniu części II udział mieli: J. Błazuk, A. Sikora oraz M. Ciechanowski) życzę Państwu udanych wycieczek po tym wyjątkowym obszarze, podczas których zapomina się o uciążliwej cywilizacji, a "troski dnia codziennego pozostają gdzieś w tyle..."

Marcin Stanisław Wilga
Wydział Mechaniczny



KAROLE ZOSTAŁY ROZDANE!!!

PRICEWATERHOUSECOOPERS
(PATRON GENERALNY)

11 kwietnia 1999 roku, w Dworze Artusa hucznie minęła VI już Edycja Konkursu "Karole". A kto zwyciężył?

W kategorii BADANIA I ROZWÓJ PRODUKTU laury zdobyły: Iwona Cydejko, Anita Kowalczyk, Anna Tomkiewicz za projekt: Automat do taśmy klejącej STYKER.

W kategorii BADANIA MARKETINGOWE nagrodę otrzymali: Tomasz Janczak i Krzysztof Malicki za projekt: Nowe usługi telefoniczne.

W kategorii BIZNES PLAN uhonorowano, ku zdziwieniu zebranych, dojrzałych już studentów studiów zaocznych: Zbigniewa Reiss i Sławomira Tamulewicza za projekt: Uruchomienie młyna wodnego w Szadowie koło Kwidzyna.

W kategorii PLAN MARKETINGOWY nagrodzono: Annę Ryż i Agnieszkę Szymańską za projekt: Plan marketingowy dla PUH KOM - EKO Sp. z o.o.

Mówiąc o Konkursie "Karole" i wieńczącej go uroczystości, szczególny ukłon i podziękowania należy skierować do jego Organizatorów, którzy z pełnym profesjonalizmem i oddaniem przygotowywali tę imprezę od wielu miesięcy. Krzysztof Antos, Radomir Matczak i Krzysztof Wróbel postarali się o perfekcyjnie przygotowaną i zawsze aktualną stronę internetową, serię wykładów towarzyszących "Karolom", liczne artykuły w prasie regionalnej, relacje w telewizji i wspaniałe nagrody dla

laureatów (wspomnę tylko o szkoleniach, praktykach, stażach, telefonach komórkowych, encyklopediach multimedialnych i książkach). To właśnie Oni poświęcili swój czas, aby blisko 300 osób mogło spotkać się na jednej z bardziej prestiżowych imprez na PG. Ale było chyba warto... Do Dworu Artusa przybyło wielu znakomitych gości, których wymienienie zajęłoby więcej miejsca niż może na to sobie pozwolić "Pismo PG". Byli zaproszeni przedstawiciele władz miasta, samorządów, uczelni, firm, wykładowcy, prowadzący ćwiczenia i laboratoria i chyba mimo wszystko najważniejsi - STUDENCI.

Choć nagłośnienie nie zawsze funkcjonowało najlepiej, a ściany dawnej siedziby kupców gdańskich były pokryte "futurystyczną", przezroczystą folią, która miała uchronić przybyłych przed spadającymi na ich szanowne głowy zabytkowymi częściami zwieńczenia sufitu i ścian, atmosfera w trakcie części oficjalnej Konkursu była nad wyraz podniosła i uroczysta.

Po poznaniu zwycięzców i wręczeniu im nagród nastąpiła mniej oficjalna, ale za to bardziej swobodna w swej formule część, czyli bankiet! Był szampan i takie smakołyki, których opisywać nie będę, zważywszy na to, że na pewno część osób czyta "Pismo PG" wtedy, gdy brzusek domaga się swojego małego co-nieco... Ale było smacznie! W miłej, wręcz świątecznej atmosferze, rozmawiali ze sobą wszyscy zaproszeni, nie zważając na to, czy jest to przyszły pracodawca, "egzekutor" wiedzy, czy też zwykły student.

Wszystkim laureatom i nominowanym życzymy wielu dalszych sukcesów, a Wydziałowi Zarządzania i Ekonomii oraz Stowarzyszeniu Inicjatyw Studenckich samych równie udanych przedsięwzięć.

A oto partnerzy "Karoli", bez których pomocy ta impreza nie byłaby tak udana:

PTK Centertel Sp. z o.o.

DynaMind - Studium Technik Umysłowych

Gdańska Fundacja Kształcenia Menedżerów

Instytut Badań nad Gospodarką Rynkową

Ośrodek Doradztwa i Treningu Kierowniczego

PZU S.A.

TUiR WARTA S.A.



Anna Szymeja
Wydział Zarządzania i Ekonomii



KAROLE '99 VI edycja



Mamy naprawdę znakomitą i zdolną młodzież - zdają się stwierdzać Pani Prorektor i Senator RP, a przede wszystkim Dziekan Wydziału Zarządzania i Ekonomii.



Wspólna fotka nominowanych i laureatów.

PRACOWNIA 500

Pałac Opatów w Oliwie



Jan Góra, "Wzniesienia czerwone",
akryl na płótnie, 100x81 cm (fot. J. Hajdul)



Aniela Kita, z cyklu "Szkice świętokrzyskie",
olej na płótnie, 120x89 cm (fot. K.Krzempek)

W styczniu 1999 r. w Pałacu Opatów w Oliwie (Oddział Sztuki Współczesnej Muzeum Narodowego w Gdańsku) prezentowano wystawę dorobku twórczego artystów Katedry Rysunku, Malarstwa i Rzeźby Wydziału Architektury Politechniki Gdańskiej. Katedra ta, z którą nierozwalnie związane jest nazwisko prof. Władysława Lama, wybitnego artysty malarza i teoretyka sztuki, profesora Politechniki Lwowskiej i założyciela Katedry, istnieje od pierwszych dni powojennej historii Politechniki Gdańskiej i jej Wydziału Architektury. Prezentujemy tylko nieliczne dzieła artystów Katedry, dające wyobrażenie o talencie i możliwościach jej pracowników.



Dąbrówka Tyślewicz, "Krajobraz",
porcelana, tlenki metali, 28x18 cm



Wojciech Strzelecki, "Pejzaż",
akryl na płótnie, 81x100 cm (fot. K.Krzempek)